Nr. 5. Rok II.

We Lwowie 27. Stycznia 1883.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

Przedpłata na **„ZIARNO“** wynosi:
W miejscu rocznie: **12 zł.** — na prowincji: **13 zł.**
„ kwartalnie: **3 „** — „ **3 „ 25 ct.**

Nowi prenumeratorowie kwartalni otrzymają pierwszy kwartał „Ziarna“ za połowę ceny

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczamy INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę tak miejscową, jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46., tudzież wszystkie księgarnie.

☞ PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE,“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

☞ Administracja **„ZIARNA“** uprasza pp. Abonentów, którzy zalegają dotychczas z bieżącą przedpłatą **o rychłe jej odnowienie**, by można ostatecznie uregulować wysokość nakładu. Ktokowiek z Szan. Czytelników nie zamierza prenumerować „Ziarna“ od 1. bm. nadal — upraszamy, aby go można wykreślić wcześnie z księgi prenumeratorów, o łaskawe i jak najszybsze **zwrócenie otrzymanych numerów.**

HANDEL

O. T. WINKLERA

WE LWOWIE

poleca

Massę woskową i lakier do posadzek, uznane jako najlepsze wyroby.

Szuwaks, (szwarc) **tłuszczowy,** konserwujący skórę i udzielający obuwiu zupełną czarność przy najlepszym glansie, premjowane na wystawach w Londynie, Hamburgu i Wrocławiu.

Wszelkie gatunki **farb** suchych i **olejnych** utartych w najlepszym pokoście i zupełnie gotowych do użycia.

Krochmal połyskujac najlepszy wyrób, jaki dotychczas znany do krochmalenia i nadania pięknego połysku bieliźnie.

Proszek na owad, niesfałszowany i niezawodny środek do wyniszczenia wszelkich owadów.

Ocet chemicznie czysty, do zamarynowania owoców po 24 ct.

i ocet winny, naturalny po 36 ct litra.

Papier pergaminowy, do obwiązywania słojów owoców zamarynowanych i konfitur.

Olejek sosnowy, czysty, naturalny nie rozcieńczony spirytusem terpentyną lub wodą, dla odświeżenia powietrza w pokojach chorych i

rozpryskiwacze olejku sosnowego.

Proszek do trawienia, dla organizmów słabo trawiących używanych przed jedzeniem lub jako dodatek do potraw.

Handel kwiatów

J. STACHIEWICZA

we Lwowie, plac Marjacki, liczba 11, — poleca

BUKIETY BALOWE ze świeżych kwiatów najgust. układane od zł. 1—15.

BUKIETF KOTYLIONOWE ze świeżych kwiatów od 10 ct, do 1 zł.

BUKIETY KOTYLIONOWE z kwiatów zasuszonych od 7 do 15 ct.

BUKIETY KOTYLIONOWE z kwiatów robionych bardzo gustownych od 8 do 40 ct. sztuka.

oraz MANKIETY pod bukiety atlasowe, jedwabne, arlantowe i papierowe, w bardzo wielkim wyborze i po najtańszych cenach.

Zamówienia z prowincji uskuteczniają się jak najakuratniej i odwrotną pocztą.

Dziękuję za dotychczasowe względy i polecam się nadal łaskawej pamięci

uniżony sługa

J. STACHIEWICZ.

Na jesień i zimę!

Największy wybór bawełnianych, wełnianych i jedwabnych kaftaników, spodeń, pończoch i skarpetek,

wełniane kamizelki z rękawami (Jagdgilets),

wełniane i jedwabne chusteczki na szyję,

Płótna i stołową bieliznę,

Główny skład gotowej bielizny, angielskich nieprzemakalnych płaszczy, Kołnierzyków, Manszet i Krawatek

poleca po najumiarkowańszych stałych cenach

F. S. BARDASZ

we LWOWIE naprzeciw kościoła Katedry l. 9.

2844 1-12

DRUKARNIA

„DZIENNIKA POLSKIEGO"

przy ulicy Halickiej pod l. 46 na dole

przyjmuje wszelkie zamówienia na

roboty odnoszące się do sztuki drukarskiej

które uskutecznia prędko, wzorowo

i po cenach umiarkowanych.

Leon Zubalewicz,

zarządca.

Nr. 5. We Lwowie dnia 27. Stycznia 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno“
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

O czem i jak należy pisać dla ludu.

I.

To, co nazywamy literaturą popularną, ludową, — jest rzeczą zupełnie nową, płodem dopiero XIX stulecia. W dawniejszych wiekach aż do Pestalozzego nikt nie pomyślał nawet na seryo o udzielaniu dla ludu jakichkolwiek nauk, które były wyłącznie przywilejem klas możnych i majętnych. Szkoły ówczesne, nawet ludowe, ograniczały się na nauce czytania i pisania, wcale nie dbając o to, by temu, kto raz posiadł tę naukę, dać przy jej pomocy jakiś prawdziwy pokarm umysłowy, Dopiero w naszem stuleciu rozwój zdrowych pedagogicznych zasad jakoteż rozwój ideji demokratycznych przyczynił się do utrwalenia tej myśli, że „nauka“ czytania i pisania nie jest właściwie nauką, lecz tylko drzwiami do niej, tak jak łyżka nie jest pokarmem, lecz tylko jednym ze środków do przyjmowania pokarmów. Koniecznem następstwem takiego zwrotu myśli były starania o utworzenie literatury dla ludu, jak naukowej tak i pięknej, — koniecznym też jego wynikiem były i główne zasady, jakiemi kierować się potrzeba przy tworzeniu tej literatury. Co ma służyć dla ludu, musi przedewszystkiem być dla niego zrozumiałe, t. j. musi posługiwać się jego własną mową, częstokroć nawet jego djalektem lub żargonem, — ztąd też poszła w naszym wieku ta niezmierna decentralizacja, że tak rzekę, form językowych, w jakie przywdziewa się myśl i nauka, — ztąd poszło powstanie takiej masy nowych literatur w językach ludów drobnych, ongi zupełnie zapomnianych i zapoznanych, ztąd studja nad językiem i etnografią wszystkich drobnych odcieni i lokalnych odmian pewnego narodu. To, o czem dawniej pisano w całej Europie tylko po łacinie, — dziś zjawia się nie tylko po francusku, niemiecku lub po polsku, lecz także po prowansalsku, plattdeutsch, po kaszubsku lub białorusku. Drobne mowy i narzecza wychodzą na widownię z długiego zapomnienia, dopominając się i dla siebie równouprawnienia śród więcej wyrobionych, niajako uprzywilejowanych państwowych języków — na polu ducha to samo zjawisko, które widzimy na polu społecznem i ekonomicznem.

Lecz nie dość na tem. Wyrażając pewne myśli w pewnym języku, jeszcze nie koniecznie będziemy zrozumiałymi dla ludu mówiącego tym językiem. Potrzeba umieć przystosować się do pojęć, wyobrażeń i sposobu myślenia tego ludu, — potrzeba myśli ogólno-ludzkie urobić w pewną specjalną, dla danego ludu przystępną i swojską formę, tak jak muzyk jest w stanie pewną arję nie zmieniając jej układu, przeprowadzić z jednej tonacji w drugą jej pokrewną.

Nie zmieniając i nie fałszując! Tutaj dotykamy jednej z najważniejszych zasad popularyzowania nauki, która u nas niestety dotychczas nigdy nie była przeprowadzoną w rzeczywistości. Popularyzatorowie nasi wychodzą zwykle z tej zupełnie mylnej zasady, że naukę należy ludowi podawać ile możności okrojoną, bezbarwną, elementarną, tj. w życiu do niczego nie dającą się zastosować. Wszelkie, dla całego myślenia i postępu ludzkości tak niezmiernie ważne zdobycze nauki nowoczesnej mają być dla ludu na zawsze zamknięte, ponieważ lud ten wrzekomo nie jest do nich przygotowany. Tymczasem każdemu, kto ma jakąkolwiekbądź naukę w całej jej rozciągłości, jasno będzie od razu, że rzecz ma się prawie przeciwnie. Rezultaty każdej nauki, owoce długich, niezliczonych i mozolnych badań zuozumiałe są dla każdego, dla dziecka nawet — metoda tylko tych badań i ich specjalne, drobne zdobycze mogą być dla niewykształconych umysłów niezrozumiałe lub obojętne. I tak n. p. traktując popularnie fizykę, czyż mielibyśmy ograniczać się na ogólnych własnościach ciał lub na elementarnych pojęciach chemji, — z któremi lud nie będzie wiedział co począć i które ani na cal wyżej nie podniosą jego umysłowego poziomu? A z drugiej strony czyż tak już zupełnie niezrozumiałą będzie dla ludu cała filozofja fizyki, wykazująca jedność wszystkich sił i związek wszystkich zjawisk? Lecz jeżeli już w naukach ścisłych nie można stawić żadnych granic dla popularnego wykładu, to tem mnicj można je stawić w naukach o żywych istotach, o człowieku i jego społecznem (przeszłem i teraźniejszem) życiu. Tutaj rzeczywiście trzeba koniecznie przyjąć za zasadę — mówić ludowi całą prawdę, bez partyjnych lub klasowych względów. Bo i cóż wielkiego zrobi np. ten popularyzator, który nawet w całym szeregu książeczek poda ludowi opisy zwierząt, kamieni lub roślin, niczem ze sobą nie powiązane? Poda on tylko masę szczegółów luźnych, które nie mając ośrodkowego atrakcyjnego punktu, z konieczności muszą rozlecieć się z pamięci czytelnika, Dopiero spojone w jedną całość przez teoryę rozwoju,

szczegóły owe zyskują przyczynowy związek, stanowić będą całość organiczną, która raz utkwiwszy w pamięci nawet chłopca, nie tylko, że z niej nie zniknie, lecz ciągle zbogacona i potwierdzana jego własnem doświadczeniem, stanie się tak samo normą jego myślenia, a więc zupełnie nowym i nieocenionej wartości nabytkiem cywilizacyjnym, jak i u każdego człowieka wykształconego.

Wiemy, że wymaganie to, opowiedzieć ludowi w każdej gałęzi myślenia i badania całą prawdę, wszystko to, do czego doszła współczesna nauka i krytyka, spotka silną opozycją osobliwie w naszym kraju. Jakto, — zawołają niektórzy, — mamyż podawać ludowi to, do czego doszły badania Darwina, obliczenia Spallanzaniego, szperania Tylora, myślenie Spencera, analiza Marksa lub krytyka Straussa? Odpowiadamy: tak! Badania tych i tym podobnych uczonych dochodzą, każde w swoim zakresie, do pewnych ogólnych poglądów, do pewnych wyników, mających ogromne praktyczne znaczenie dla reformy całego naszego światopoglądu i uspołecznienia. Oświecili oni rozmaite wielkie problemata, o które umysł ludzki ciągle potrąca, i które wymagają jasnej i stanowczej odpowiedzi, nie tylko w umysłach ludzi uczonych, lecz niemniej też i w umyśle chłopa. Nie potrącać o nie w literaturze popularnej, to znaczyłoby pozbawić ją wszelkiego żywotnego znaczenia dla ludu, — a potrąciwszy raz, staje się przed dylematem — albo rozmyślnie kłamać i oszukiwać lud, albo też powiedzieć mu całą prawdę.

Lecz jak by to trzeba i można było zrobić, o tem następnym razem.

„Illegitimi Thori“.

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

— Krzyż pański z tym chłopcem — mawiała zwykle pani profesorowa Antocka, a wtórował jej wymownem westchnieniem mąż, ilekroć wspomniano o Kaziu, którego u nich umieszczono.

— Do książki hultaja ani weź, do lamparterji zawsze pierwszy, psuje nam tylko drugich, a zuchwałe to, grymaśne i wymyślne, jak gdyby jaki „hrabczuk“.

W tych słowach streszcza się dosadnie reputacja, którą wkrótce wyrobił sobie swawolny chłopiec, i konsekwentnie utrzymywał ją potem przez cały czas pobytu swego w gimnazjum w G... Przełaził z klasy do klasy, bo oczywiście w tym a nie innym celu oddano go do profesora, i płacono dość drogo za utrzymanie malca i korepetycje. Byłby prawdopodobnie w ten sposób szczęśliwie przebrnął wszystkie ośm klas, gdyby nie zdarzenie, które uniemożliwiło pobyt jego w tem gimnazjum, mimo względów, które grono profesorów miało dla kolegi Antockiego, a po części także i dla ojca Kazia. Ledwie „to odlazło od ziemi“, jak się wyrażała często pani profesorowa — dla ustawicznych bowiem zgryzot z powodu niesfornego konwiktora, oboje z mężem nie bardzo lubili Kazia — zatem ledwie miał siedmnaście lat, dopytał się towarzystwa podobnych mu łobuzów, i zaczął z nimi co dzień namiętnie grywać w karty t. j. w ferbelka. Z początku grywali w niedzielę i święta, po tem kilka razy w tygodniu, nakoniec codzień, urywając sobie w tym celu jedną lub dwie godziny z lekcyj szkolnych. Kaziowi fortuna statecznie nie dopisywała; z razu płacił „frycówki“ guldenami wykpiwanemi listownie od matki, pod najrozmaitszemi pozorami. Później i tego było zamało, zaczął sprzedawać książki, w dalszym ciągu pozastawiał odzież, bieliznę u żydów, zegarek, który mu matka dała, słowem wszystko, co tylko miał nie do codziennego użytku, a na co usłużny żydek pożyczył choć kilkadziesiąt krajcarów.

Podczas jednej z takich partyj, gdy przegrał był prawie wszystko z rozdobytych pieniędzy, a w domu i kuferku nic już nie miał do zpieniężenia,—posprzeczał się z jednym z partnerów. Słowo po słowie, przyszło do bójki, wśród której Kazio podrażniony jakiś dotkliwszym szturchańcem przeciwnika, dobył scyzoryka, i w szalonej zapamiętałości wbił mu klingę w ramię, po samą rękojeść. Zraniony zemdlał, na widok krwi smarkacze potracili głowy, a pierwszy Kazio jak drapnął, tak się oparł aż w odległem stąd o kilka mil miasteczku, u rodziców. O właściwej prawdzie zamilczał oczywiście, a tłumaczył się, że gdy niewinnie dostał od tamtego w twarz, stracił z gniewu przytomność, i nie wiedząc sam co robi, skaleczył go scyzorykiem. Matka znalazła to zachowanie się jedynaka zupełnie odpowiednem, zdaniem jej tylko krew rycerska, płynąca po kądzieli w żyłach Kazia odezwała się gracko, — inaczej nie mógł uczynić. Ojciec, słaby safanduła, któremu całe życie okropnie ciężyło szlacheckie pochodzenie i edukacja żony—milczał, bo zresztą wiedział od dawna, że opozycją nic nie wskóra, a ściągnie sobie jeno jaki tydzień dąsów i gniewu małżonki. Innego jednak zdania byli profesorowie w gimnazjum. Gdy rzecz cała, doniesiona przez rodziców skaleczonego chłopca, do wiadomości dyrekcji szkoły, wyszła po indagacjach na jaw, wydalono Kazia z gimnazjum. Nie pozostało teraz pocztmistrzowi nic innego, jak postarać się o przyjęcie synalka do innego gimnazjum. Po długich naradach, zdecydowano udać się do Lwowa, za czem przemawiała obecnie i ta okoliczność, że od dwu lat mieszkała w stolicy kuzynka pani pocztmistrzowej, u której można było umieścić Kazia.

Tak tedy pewnego ranka, Jędruś ze zdziwienia aż usta otworzył szeroko, widząc wchodzącego do klasy starego swojego wroga. Dodać bowiem musimy w tem miejscu, że ile razy sierota był u opiekuna pana Piotra na wakacjach, Kazio zawsze przy spotkaniu, na ulicy czy w kościele, z wyzywającą pogardą patrzył na niego, nie witając się po koleżeńsku, lecz przeciwnie ignorując go z umysłu. Pan Piotr widział to niejednokrotnie, a potem z żartobliwym śmiechem pytał zawsze: „A widziałeś dziś Jędrusiu twego „wroga“?“

I „wróg“ ów zmięszał się widocznie, spostrzegłszy siedzącego w pierwszej ławce Jędrusia. Udał, że go widzi pierwszy raz w życiu, a potem pilnie wystrzegał się zbliżenia do dawnego kolegi, jakkolwiek nowi towarzysze usiłowali zaraz zaznajomić go z lubianym przez nich „prymasem“ Kobylskim.

Po niejakim czasie, po zjawieniu się w klasie Kazia, uderzyła Jędrusia pewna zmiana w postępowaniu z nim i zachowaniu się kilku kolegów, z którymi szczególniej przystawał zwykle. W miejscu poprzedniej serdeczności, jakiegoś respektu mimowolnego, już w szkołach bowiem zwykło się mieć respekt dla tych, którzy tem czy owem imponują, choćby tylko pierwszą lokacją w klasie... — i dokumentowanej codzień przynajmniej dwa razy przyjaźni, ujrzał z wielkiem zdziwieniem chłód zagadkowy, unikanie go niemal ostentacyjne, i ukośnie rzucane spojrzenia chmurne. Gdy zauważył te bezprzyczynne objawy niechęci, graniczące nieomal z pogardą, o której mimo młodego wieku miał już dość wyrobione wyobrażenie — zaniepokoił się mocno, był jednak zbyt dumny w duszy, aby pytać o przyczynę. Aż po jakim miesiącu, jeden z owych towarzyszy, chłopak z gruntu poczciw i serdeczny, przyszedł do niego pewnej niedzieli po południu, i przyczyna zagadkowego boczenia się wszystkich wobec Jędrusia, została wyjaśniona.

— Słuchaj no Kobylski — zaczął przybyły po sakramentalnem „serwus studenckiem — ten Swider okropne historje porozpowiadał o tobie...

Jędruś zbladł, i zadrżał mimowolnie, serce zaczęło mu bić gwałtownie.

— Jakie okropne historje, nie rozumiem cię.. — wybełkotał po chwili; — chyba to,

żem biedak, sierota od dziecka, jak palec sam jeden na świecie...

— Ba sierota, to najmniejsza... Ale on mówił nam, że ciebie b....... u nich w domu nazywają żeś się urodził na śmieciu żydowskiem w miasteczku, że Bóg wie kto twoim ojcem, a matka umarła w kryminale... za kradzież..

— Łże podły nikczemnik'... — wrzasnął Jędruś, i jak wściekły rzucił się z miejsca. Zabiję tego łotra przy pierwszem spotkaniu... moja biedna matka umarła w kryminale... cóż za niegodziwy kłamca i oszczerca... — i łzy rzuciły mu się potokiem z oczu.

— Daj spokój, nie płacz Jędrusiu, płacznie do twarzy nam mężczyznom — perswadował dobry chłopak, obejmując sierotę ramionami, i całując go serdecznie w zwilżone łzami policzki. Udawał mężnego, a jemu samemu nie wiele już brakowało do płaczu.

— Nie wierzę mu, dalibóg, nie wierzę nic.... Powiedziałem ci to wszystko,' bo uważałem sobie za obowiązek, wyświecić całą prawdę. Dam ja mu sam za to, dam... On mi się od razu nie podobał... Udaje paniczyka, a to osieł kwadratowy, i nazywa się tak śmiesznie po chłopsku.. Owa! jaki mi panicz, taki Świder... — W tych i podobnych słowach usiłował chłopak uspokoić łkającego Jędrusia, lecz mu się to nie udało tak rychło.

Gdy się jednak wypłakał do syta, usiadł na łóżku, posadził koło siebie kolegę, i po krótce opowiedział mu historję swego pochodzenia, o ile ją znał z niewyraźnych wzmianek, zasłyszanych w dzieciństwie od nieboszczki organiściny. Kto był jego ojcem, nie wiedział rzeczywiście, choć doszło go raz przypadkiem, że to był podobno jakiś bogaty, młody pan — a nieszczęśliwa matka, ledwie wydała go na świat, zaraz umarła, i leży na cmentarzu w owem miasteczku. Wychowali go od niemowlęctwa poczciwi organistowie, przyjąwszy za swojego, a dopiero po ich śmierci krewni zmarłych wygnali sierotę. Wtedy zabrał go do siebie profesor miejscowy, pan Gwizdowicz, i dotychczas opiekuje się nim ciągle.

— Oto masz bracie najświętszą prawdę... Osądź sam, ile w tem okropnego, i czy zasługuję na taką nikczemną obmowę? Nie pierwszy to raz obecnie on mię nazywa b...... Jeśli nim jestem, cóżem winien... przecie na świat się nie prosiłem sam... Czem zresztą różnię się, dajmy na to, od tego samego niegodziwego Świdra? Przecie — równie jak on — musiałem i ja mieć ojca i matkę! Gdyby biedaczka była nie umarła, byłby może i ojciec mój później kiedy nawrócił się do niej... Zresztą, co komu do tego? Nie dość dla mnie nieszczęścia to sieroctwo zupełne? potrzebaż nadto, ażeby mi wyrzucać Bóg wie za co, moje pochodzenie?,.— Ha! podły bydlak!... — Zaświeciły się oczy chłopczynie. Kurczowo zacisnął pięście, i obiema pogroził w powietrzu.

Kolega tymczasem, zapatrzony machinalnie w jeden punkt na pokoju, słuchał zdaje się uważnie genezy Jędrusia, i późniejszych jego wynurzeń bolesnych. Czy go one przekonały i pociągnęły zupełnie na stronę sieroty... nie wiemy. To pewna, że są wyrazy. które skutkiem zżytego z niemi znaczenia i pojęcia, tak okropnie brzmią w uszach z w y k ł y c h ludzi, iż nie dziwilibyśmy się wcale, gdyby ów dobroduszny chłopak, mimo dotychczasowej przyjaźni i serdecznej życzliwości dla sieroty, obecnie co najmniej połowę tych uczuć utracił bezpowrotnie dla b...... Siła przesądów jest bez kwestji potężniejsza od serca i nerwów, jeśli im w pomoc r o z u m nie przyjdzie...

(C. d. n.)

Do Prutu.

Siwy Prucie! — tęskny Prucie!
Gór pieśniarzu stary —
Jakież w pieśni twoich nucie
Uroki i czary! —

Nastroiłeś srebrną lutnię
Na przeszłości tony,
Co pielgrzymkę wita smutnie...
... Pogrzebnymi dzwony!

Oj! Lirniku siwobrody
Siadłeś na mogile...
A z szumani twojej wody
Płynie jęków tyle...

Że mi łzami serce wzbiera
Jak w minione lata —
Och bo serce nie umiera
Nawet... w kaźni świata!

I jak dawniej, drży w mem łonie
Niespokojnem biciem —
Tylko chłód — owionął skronie,
Co się zowie życiem!

I jak dawniej roje pieśni
W koło niego dźwięczą —
Tylko szczęścia sen się nie śni —
Przepasany tęczą!

Tylko pękł, wiążący z niebem
Łańcuch tajemniczy —
I powszednim dni mych chlebem
Dziś... uśmiech goryczy!

I ty, w dawne dzwonisz tony
Na lutni młodzieńczej!
Tylko wiosny maj zielony
Brzegów ci nie wieńczy.

Tylko szron jesienny rosi
Jarzębin korale
I wiatr uschły liść unosi
Na zmącone fale!

Tylko wron urągowiska
Nad pożółkłe łany —
Tylko zimy groźba bliska
W chmurze ołowianej!

Więcej... nic się nie zmieniło...
Czemuż tak żałośnie?
Starcze! nam się może śniło
O szczęściu i wiośnie?

Pocóż wzrok obracać smętny
Na gasnące zorze?
Dalej!... ja w świat — obojętny,
Ty — w dalekie morze!

Marja Bartus.

Z życia wodziarki.

Napisał
Karol Wlad. Żółkiewski.

Jużto pani Wydrzycka miała słuszność, —z Janową trudno było wytrzymać. Obdarta, brudna, wiecznie stękająca — wcale nie była sympatyczną, a najgorzej to z temi rękoma, popękanemi od mrozu, wiecznie zawalanemi. No jakże pozwolić, by takie babsko kładło swe łapy na kuchnię zastawioną garnkami — nie — pani Wydrzycka zupełną miała słuszność. Janowa była nie do zniesienia, i jedna tylko zaleta dawała jej prawo do posługi, to jest, że dość tanio, bo za dwa złote miesięcznie całymi dniami nosiła wodę na drugie piętro,— Ale jej dziecko, sześcioletnia Minka — to któżby za panią Wydrzycką nie powtórzył „po co właściwie takie psiarstwo się rodzi?“ Ani to odziać się ma w co porządnego, wiecznie brudne, obdarte, od zimna zsiniałe na twarzy wychudłej z głodu, wyrażające całą swą grzeczność całowaniem brudnemi ustami delikatnych rąk państwa — a gdy tego z wstrętem zabraniano—końce pańskich rękawów. Toż pani Wydrzycka, nie mogąc znieść jej widoku, nakazała raz na zawsze Janowej, by swoją córkę zostawiała w sieniach. Wprawdzie w kuchni mogłoby być jej cieplej — ale mogłaby zawadzać, stłuc co, a któżby wynagrodził — a tak mogła sobie siedzieć spokojnie w sieniach, wprawdzie nie ogrzanych i wystawionych na wszelkie przeciągi — ale takiemu dziecku cóż to mogło zaszkodzić — zawsze lepiej w sieniach, aniżeli na ulicy. Wysiadywała też Minka całemi godzinami schody, i nie było jej nudno. Miała towarzysza w psie pani Wydrzyckiej — Wiernusiu. Oboje byli w dość wielkiej przyjaźni — szczególnie w zimie — gdy Minka zziębła i psie figle jej się sprzykrzyły, brała Wiernusia na kolana, układała go do snu, i jego ciała ciepłem ogrzewała sobie nogi. Lecz nic na świecie stałego. Toż i z Wiernusiem przychodziło do zerwań przyjaźni, szczególnie w porze

poobiedniej. Jużto Wiernuś miał szczęście do ludzi — jemu rzucano ochłapy, z których choć nieco ogryźć mógł mięsa, czego mu właśnie Minka zawsze zazdrościła — bo choć i jej wynosiła matka nieco jarzyny z ugotowanego rosołu — to jednak po niejczuła zawsze jeszcze wielki apetyt na obiad Wiernusia. Nieraz też niepomna przyjaźni, rozpoczynała z nim wojnę — niezawsze szczęśliwą. Grzeczny dotąd Wiernuś wyszczerzał zęby, warczał a nieraz i zębami za rękę Minki schwycił — rzadko kiedy trafiła na dobry humor swego towarzysza. I wtenczas chwytała za kość, i na wszystkie strony co sił starczyło obgryzała ją, głaszcząc i całując w podziękę małego psa. Dziś, niestety! od samego rana coś Wiernuś był nie w humorze, ciągle szczekał — uciekał od Minki — skomlał pode drzwiami i koniecznie napierał się do kuchni. — Było to pierwszego grudnia — na dworze chmurno — po ulicach chodzili panowie w futrach z kołnierzami do góry postawionymi, — więc psu może było zimno. Minka jednak tego nie zrozumiała — i choć jej dziś ręce bardziej opuchły aniżeli kiedykolwiek — w każdym razie nie śmiałaby naśladować psa w jego chętkach wdarcia się do ciepłej kuchni — coby na to „pani“ powiedziała — wreszcie nim by ją pani zobaczyła — jużby ją matka z obawy czegoś podobnego sama za drzwi wypchała. Siedziała przeto na schodach, dziwiąc się psiej fantazji. Ale zimno było — skuliła się więc, jak to mówią we troje — założyła jednę rękę w rękaw drugiej i czekała na ciepłe jarzyny z ugotowanego rosołu, przysłuchując się — nie wiedzieć z góry czy z dołu — dolatującym jej uszu dźwiękom fortepianu. Nie rozumiała ich wprawdzie — nie wiedziała, że to tęskny mazurek Chopina: „Jego dotąd niema, a duszyczka roi“, ale słuchała z przyjemnością — jakoś ją to ukołysało — i powoli oparła głową o poręcz schodów — zasnęła. Jak długo sen trwał, nie wiedziała — aż uczuła jakieś silniejsze szarpnięcie za ramię i głos matki — Janowej. — „Minka — słyszysz — masz — jedz — a bodaj cię.... — gotowa zamarznąć — słyszysz Minka — jedz — bo cię bić będę.“ Ochrypły głos ten drżał nieco.. Minka słyszała to — chciała oczy otworzyć — ale mimowolnie się kleiły — dreszcze przebiegały ją po ciele — w końcu, czy woń jarzyny — czy ciepła jej para bijąca w twarz ją ocuciły, dość, że otworzyła oczy, chciała mówić, ale tylko silnie zębami zadzwoniła — nie mogła rąk wyjąć z rękawa.

— Widzisz Minka - zimno - no, na masz, otwórz gębę. — Minka połknęła nieco ciepłej jarzyny — przebiegły ją silniejsze dreszcze — powoli zjadła wszystko, odzyskała siły. Za chwilę wyniosła kucharka na miseczce wątróbkę, ulubioną potrawę Wiernusia. Rzucił się na nią chciwie — ale zaledwie kucharka odeszła — znalazła się obok jego mordy sina, opuchnięta ręka Minki — pies zawarczał, ta się nie cofnęła — chwyciła za kilka kawałków — mierząc do ust. Pies się rzucił — rozpoczęła się walka — zniecierpliwiony uchwycił za rękę — pisk bolu rozległ się w sieniach. W dzwiach kuchni zjawiła się przestraszona Janowa. W jednej chwili pies był w jej rękach, a za sekundę na dole skąd wracał okropnie skomląc ze złamaną nogą. Na górze czekała już na niego pani Wydrzycka, wywabiona z pokoju niezwykłą wrzawą. Zirytowana do najwyższego stopnia, nie mogła pojąć jak „taka“ Janowa śmiała jej psa zrzucić z piątra — przeszło to wszystkie możliwe granice — trudno, Janowa dłużej u pani Wydrzyckiej pozostać nie mogła. — „Nie śmiecie więcej pokazać się na moim progu — ruszajcie z swoim bachorem — macie tu dwa złote — dziś miesiąc się skończył — dosyć już tego ani słowa więcej...“

— Pani Dobrodziejko! to on Minkę ukąsił — ja niewinna — pani Dobrodziejko — tych słów już jednak pani Wydrzycka niesłyszała — drzwi były zamknięte. Janowa czekała — miała dwa reńskie w garści, w końcu wziąwszy Minkę za ręce, zeszła ze schodów. Ostatnią straciła posługę, sama w jaki sposób nie wiedząc. Nie miała jeszcze czasu zastanowić się nad jutrem, toż znalazłszy się na ulicy wstąpiła do szynkowni „pod Sobieskim“. Minka lubiała szynkownię — w niej, choć ludzie nieraz i szturchnęli — było ciepło, i matka zawsze dała do napicia się jakiegoś słodkiego płynu, po którym uczuwała miłe ciepło w ciele. Więc i dziś, gdy łzy na twarzy osuszył zimny wiatr, a ból na chwilę ustał — rada usiadła za stołem koło matki, chciwie spoglądając na rozstawione przed nią studzone nogi. Dawniej kilka razy nadaremnie prosiła matkę — dziś ta sama przysunęła jednę porcję. — Na jedz Minka — jedz — oj żebyś raz już zdechła, toby i tobie i mnie lepiej było — na jedz — a bodajby ją wraz z psem djabli wzięli — no jedz — kiedy ci mówię. — Sama mało jadła — wolała pić — Minka zaś bez zachęty matki połykała żarłocznie kawałek za kawałkiem — coraz cieplej i weselej jej było. Janowa wychylała kieliszek za kieliszkiem, klnąc coraz więcej panią Wydrzycką, która w tej chwili po opatrzeniu nogi psa — siedziała w fotelu niedaleko piecyka z Krasińskim w ręku — zachwycając się po raz już setny może „Ułamkiem naśladowanym z glossy św. Teressy“. Trudno, Janowa i czytać może nie umiała — może i ona znalazłaby ukojenie po stracie ostatniej posługi w umysłowej rozkoszy — ale teraz piła wódki coraz więcej, tracąc przytomność. Śmiała się, choć od dobrej chwili Minka płakała. Piekły ją odmrożone nogi, ręce, twarz, chciała iść do domu, znowu na mróz, byle tylko nieznośny ból ustał — ale matka iść nie chciała. W końcu mało już mając grosza — zataczając się po izbie, doszła do drzwi. Czy próg był za niski, czy też może w skutek pchnięcia właściciela szynkowni — dość, że Janowa straciła równowagę, i zatoczywszy się upadła na bruk — centy trzymane w garści się rozsypały — ludzie się zbiegli — oddzielili — sobą od matki Minkę — i nim się ta spostrzegła, już matka w towarzystwie stójkowego ładnemi sankami szybko środkiem ulicy jechała. Minka kawał drogi biegła, wołała — daremnie — sanki mknęły szybko — wreszcie na jakimś szerokim placu, okolonymi dokoła oświetlonemi i przystrojonem wystawami sklepów, straciła je z oczu. Została sama. Przelękła patrzała na tłum przed oczyma przesuwający się — płakała. Nie wiedziała i nie mogła zrozumieć, co się z nią dzieje. Rozglądała się — dokoła iskrzyły się światłem szyby sklepowych wystaw. Powoli, nieśmiało zbliżyła się do jednej. Stała długo z wlepionemi oczyma w prawdziwe dla niej cuda. Co za śliczne lalki, jakie strojne, a żołnierze takie małe — ona nigdy czegoś podobnego nie miała — stała, patrzała — nie czuła ani zimna, ani głodu, i stałaby nie wiedzieć jak długo, gdyby nie odepchnął jej przechodzący tłum, i mimowoli z sobą nie uniósł. Znalazła się w jakiejś brudnej uliczce, oświetlonej gdzieniegdzie, tylko latarnią. Silny wiatr się zerwał, wzniósł białe tumany śniegu do góry, zasypując całemi płatami podarte łachmany Minki, to znowu przypierał ją do muru — wkradał się dziurami sukni, przesuwał po ciele, łaskotał, i leciał dalej.

Skuliła się — drżała. Chciała krzyczeć, bała się tej strasznej ciemnej ciszy, przerywanej świstem wichru czasem zdało jej się, że słyszy głos matki, chciała wyciągnąć rękę — uczuła ból — nie mogła. Powoli i zimna nie czuje, i jakoś dobrze zaczyna jej się robić — ni krzyczeć ni ruszyć się nie może. Od czasu do czasu ciepłe dreszcze przebiegają po plecach. Zapatrzona w dalekie światło latarni zmruża oczy, ale jej czerwony pajac z żółtemi blaszkami wciąż coraz silniej w uszach dzwoni, to lalki w białych skrzących się sukniach przed oczyma migocą, to znowu zasłaniają je ciemne plamy..

Minka zasnęła. Nikogo na ulicy nie było.

. . . .

Nazajutrz o godzinie trzeciej popołudniu na podwórzu jednej redakcji z codziennych dzienników, czytał stary lokaj w kronice świeżo wyniesionej gazety :

„Wczoraj wieczorem mieliśmy silny przymrozek. Dziś rano znaleziono na jednej z bocznych, mało uczęszczanych ulic, zmarzłe ciało niewiadomego nazwiska dziecka — ciało odwieziono do szpitala“.

Kilka wierszy dalej:

„Jak się dowiadujemy ze źródeł wiarygodnych, składki na chrześcijańskie misje w Chinach płyną obficie. Towarzystwo mające na celu wykupywanie dzieci chińskich z rąk rodziców pogan, by wychowawszy je w chrześcijaństwie wyrwać z paszczy wiecznej zagłady — nader pomyślnie się rozwija — oddaje ono nie tylko usługi kościołowi, ale i cywilizacji.“

. . . .

Co się stało z Janową? Nie wiem, może gdzie później zginęła pod płotem.. Nazwiska jej nigdy nie czytałem w urzędowym wykazie zmarłych, być może dlatego, że należała do ludzi „niewiadomych“ z nazwiska.

Izajasz Tegnér
i poemat o Frytjofie.

Szkic literacki

Dra. Alberta Zippera.

Nowi królowie nie posiadali cnót zmarłego Bela: Helg chytrego serca, dumny i gniewliwy, a młodszy Halfdan trzpiot i niewieściuch, jak nikogo nie pociągali do siebie, tak i z Frytjofem stosunek ledwie formalny utrzymywali, który rychło się przeciął. Albowiem Frytjof pochowawszy i opłakawszy ojca, widząc się z Ingeborgą i słysząc, że z braćmi w zamku królewskim i jej już nie tak dobrze, posmutniał, dumał długo, błąkał się samotny, nareszcie pewnego dnia odwiązał okręt i wyruszył do królów, nad grobem Bela właśnie zgromadzeniem ludowem kierujących. Śmiało stanął przed nimi.

„Królowie! Ingeborga ma serce me,
Toż i siostry dziś waszej za żonę chcę:
Tym ślubom sędziwy
Wasz ojciec, cny Bele, był zawsze życzliwy.

Ni z królów, ni szlachty wiódł ojciec ród,
Lecz wieszcze go sławią, czci imię lud,
Kamienie z wierszami
I czoło kurhanu lśnią jego czynami.

Wszak łatwobym ziemie. mógł zdobyc i tron,
Lecz wolę żyć z braćmi ojczystych stron,
Chcę z mieczem na straży
Strzedz murów królewskich, i siedzib nędzarzy.

Wstał Helge i szydząc, też zaczął grzmieć:
„Za żonę chce siostry królewskiej-kmieć?
Nie! córy Walhalli
Za żonę li-króle Normanów bierali.

Chcesz ziemi mej bronić? To nie twa rzecz?
Sam burze poskromię, mam berło, miecz;
Lecz w każdej godzinie
Za sługę cię przyjmę w domowej drużynie,“

„Twym sługą nie będę! wzniósł Frytjof głos.
Jak ojciec, ja wolny wybrałem los.
Hej mieczu nad miecze!
Rzuć pochwę, niech brzeszczot na rozkaz [mój siecze!“

Ale przypominając sobie, że tu grób Bela, przeciął tylko jednym zamachem tarczę Helga, a przestrzegłszy go, by mu nie wchodził w drogę, wrócił do swej posiadłości. — Lecz nie tylko wrogi stosunek do braci Ingeborgi oddalał parę kochającą, groziło jeszcze inne niebezpieczeństwo.

Panował wówczas w Nordlandzie zacny i mądry król Ryng. Starzec ten po śmierci drugiej żony postanowił zaślubić Ingeborgę, i dziewosłęby wyprawił. Helg nim odpowiedział, zbadał wyrocznię Bogów, lecz ofiary w tym celu uczynione niepomyślnie wypadły.

Trzpiot Halfdan wyszydza zgryzoty te:
„Weselną ochotę
Psy zjadły! Grzyb stary umizgi swe
Dziś stroić chce
Jak czapla w kobiałce. — Odprawić hołotę!“

Zjątrzeni posłowie odbiegli precz,
I głoszą obelgę:
Ryng pobladł, gdy całą wysłuchał rzecz:
„O! grzyba miecz
Nauczy szacunku Halfdana i Helgę!

Już posły wojenne do Helga mkną,
Toż zaczął żałować.
„Ryng silny! zbyt ciężko się miecze zwrą;
Ja siostrę swą
W świątyni Baldera rozkażę zachować.“

A ona nie wiedząc o doli tej
Z schyloną w dół szyją,
Haftuje złociście w komnacie swej.
Na łono jej
Łza spada jak rosa na białą liliją....

Gotowali się tedy bracia do wojny. a starego wspólnego piastuna Hildinga do Frytjofa z prośbą o rychłą pomoc posłali. Zastał Hilding wychowańca swego przy stoliku z bratem po broni Bjornem w szachy grającego, a Frytjof w zdaniach niby do Bjorna i do gry zastosowanych, zgoła wszelkiej pomocy odmówił. Nawiasem wspominając, ustęp ten poematu należy do najoryginalniejszych lakonizmem swym, a niemniej zewnętrzną formą...

Gdy tedy całe państwo przed bojem oczekiwanym drżało, Frytjof dumą z upokorzenia królewskich pyszałków serce swoje pocieszał — a równocześnie najwyższem szczęściem miłości się upajał:

Z dolin w doliny,
Wy Bela syny,
Bieżcie po miecze — swego nie dam wam!
W Świątyni Boga
Mieszka ma droga
Tam pole walk mych, cały świat mój tam!
O, tam, niepomny zemsty królewskiej
Niepomny nędzy synów padołu!
Z mą Ingeborgą puhar niebieskiej
Radości spełniać będę pospołu!

Skoro słońce w morzu utonęło, przez zatokę pod świątynią Baldera okrętem zapływał, wierni towarzysze czuwali u wchodu świątyni, aż ze świtem dowódca ich uszczęśliwiony z objęcia kochającej Ingeborgi do Framnesu swego wracał. Ale nie uszło to szczęście oczu nienawistnego Helga. Bo gdy nareszcie łzami i prośbami Ingeborga na twardym jak głaz Frytjofie wymogła, by powtórnie prosił o rękę jej teraz, kiedy niebezpieczeństwo państwu grożące królów pychy poskramiać musiało, kiedy całe zgromadzenie ludu przyklasnęło oświadczynom, stary piastun za Frytjofem przemówił, a nawet młodszy z królów za niem błagał, tedy Helg nocne schadzki ze siostrą a przez to zakłócenie spokoju świątyni wyrzuca. Wszyscy krzyczą: Frytjofie mów, że nie! Ale ten:

Chociaż od słowa jednego zależy
Szczęście dni moich na ziemi,
Przecież się nie bój! kłamstwem nie zdobędę
Szczęścia żadnego! Siostrę twą widziałem
I rozmawiałem z nią nocą w świątyni,
Ale boskiego spokoju Baldera
Nie znieważyłem!“..

Całe zgromadzenie tedy Frytjofa odstąpiło a król nałożył nań wyrok, by na możnym władcy w dalekich stronach mieszkającym daninę od wielu lat zaległą wymógł. Frytjof Ingeborgę przy ostatniem widzeniu gorąco namawiał, aby z nim wespół uchodziła do cudnych okolic południowych, gdzie w cichem szczęściu domowem pogodnie dni im popłyną. Lecz Ingeborga odrzecze:

Córa Bela nie porwie ukradkiem

Szczęścia, chociażby jak najbliżej stało.
Postanowiłam w ojczyźnie pozostać
I być ofiarą, którą dla ołtarza
Brat przechowuje.. Ja córa północy,
Cóżbym znaczyła pod słońcem Południa!
Biedne oczy moje

Z wieczną tęsknotą patrzyłyby w stronę
Kędy polarna gwiazda jak stróż czujny
Pilnuje z nieba mogił naszych Ojców!..
Piękne ustronie któreś mi malował,
Byłoby czynów twych ledwie rozkwitłych
Smutną mogiłą.. Nie! nie! tak nie będzie!
Złóżmy ofiarę ze szczęścia ziemskiego
I siebie wzajem pożegnajmy!.,

Niepodobna tutaj gorącą ciężką walkę biednej kobiety obszerniej wyłożyć. Frytjof na odmawiającą ucieczki zżyma się, na chwilę zapoznaje jej miłość, żałuje i gore na nowo, a ostatecznie wesół żegna z nadzieją rychłego powrotu, kiedy spełniwszy wyrok króla, wolny od zarzutu, już od n a r o d u rękę kochanki żądać będzie. ale smutnem przeczuciem, rozpaczą przepełnione serce Ingeborgi.

Jesiennych wichrów szał
Podnosi pierś morza w olbrzymi wał:
Ja z brzegu źrenicę stęsknioną
W dal puszczam zamgloną
Już dawno patrzę stąd,
Widziałam, jak żagle gnał wichrów prąd,
Jak wpłynął w zachodnie tumany
Mój Frytjof kochany...
Zawieje wiosny woń,
On wróci, lecz luba nie wyjdzie doń,
Nie spotka jej więcej jedyny
Śród kwiecia doliny...

Frytjof, jak wspominaliśmy, pełen otuchy odbił od wybrzeża rodzinnego. Wprawdzie zajadły Helg gusłami morze przeciw odjeżdżającemu podburzał, lecz Ellida zwycięsko bałwany przerznęła, dopłynęła do celu a po kilku miesiącach pana swego na łono ojczyzny powróciła. Jakąż tęsknotą serce żeglarza drżało! Jakąż radością zatętniało, gdy ujrzał znów skały nadbrzeżne, znany przylądek, gaj świątyni! Ale nie wychodzi tu naprzeciw jemu droga Ingeborga, a smutniejszy płynie dalej ku zagrodzie swej nie znajduje jej, zniknęła, tylko popioły i węgle wiatr tu obraca! Stary piastun nadchodzący wszystko wyjaśnia: Gdy wojna nastała, Helg tchurząc uciekał z pola, zemsty chciwy zagrodę frytjofową podpalił dla okupienia pokoju najeżdżającemu Ryngowi rękę Ingeborgi oddał.

Teraz na Frytjofa kolej mścić się; wpada w świątynię Baldera, drżącemu już od samego głosu przybysza Helgowi trzos z daniną w oblicze ciska, lecz z pogardą odwraca od zemdlałego króla jako niegodnego miecz swój. Spostrzegając na posągu Boga naramiennik, który darował był przy pożegnaniu Ingebordze, ale król wydarłszy jej Balderowi na ramię zawiesił, szarpie i targa Baldera, że obrażony Bóg rzuca się na stos płomienny. Wicher dmie, pożar ogarnia wszystko, mimo usiłowań najzacniejszych cała świątynia w perzynę zamieniona. Wyklęli Frytjofa kapłani i jako świętokradcę ogłosili go banitą. (Dok. nast)

Mój wuj Duval.

Opowiadanie Spaha
(przez K. Dollfus'a)
(Ciąg dalszy)

Związek ten, którego matka moja nie życzyła sobie, wypłynął, że tak powiem, ze zbiegu szczególnych okoliczności. Sierota i córka jedyna przyjaciela mego ojca, którego zrujnowały zbytnio wygórowane spekulacje, panna Beaumont, od piętnastego roku przyjętą została w nasz dom i traktowana była na równi z własnemi córkami przez mych rodziców. Mimo to znałem ją mało, bo tylko podczas wakacyj dwóch ostatnich lat mej nauki wojskowej w Saumur. Z powodu pożycia jej tak ścisłego z memi siostrami, sądzę, że byłbym uległ urokowi jej piękności i wdziękom umysłu, tak samorodnym i niewieścim zarazem, gdyby właśnie w tym czasie serce moje nie było gdzieindziej zajęte. Matkę martwiło to mocno, bo jak się później dowiedziałem, przeznaczyła nas w sekrecie dla siebie. Żałowała zaś tem mocniej, wiedząc, że osoba, którą kochałem, do mnie należeć nie może. W krótkim czasie po wyjeździe moim do Afryki, dowiedziałem się o małżeństwie wuja. Pozostawała jeszcze tajemnica do rozwiązania. Jakim sposobem imię Duval zmieniło się na Satigny? Wiedziałem, że wuj był wolny od wszelkiej niedorzecznej próżności. Czyliż zmiany nazwiska żądała żona, lub też przyjął je, aby ukryć się przed światem tak łakomym obmowy? Zostawiłem najbliższej przyszłości rozjaśnienie tej zagadki, którą dyskrecja zakazywała teraz poruszyć.

W bardzo ożywionem usposobieniu byliśmy przy obiedzie. Przerzucaliśmy księgę wspomnień, kronikę rodzinną, a podczas całego obiadu zadawaliśmy sobie ciągłe zapytania i odpowiedzi co do różnych członków familii. Straciłem bardzo a nawet zbytnio z ócz moich krewnych, i czyniłem teraz dobrowolną pokutę. Moja ciotka pozostała zimna podczas naszej rozmowy, a tylko czasem dorzucała słówka z odcieniem pogardliwej ironii, która raziła mnie. Niczem nie zagadnęła męża, ani razu nie zwróciła się, nie spojrzała na niego. Zatopiony w reminiscencjach z Clermont nie zauważał tego, albo udawał, że nie spostrzega. Przy końcu obiadu pił bez ustanku zdrowie tych, których wspomnienie wywoływaliśmy. Przy deserze ożywienie jego, które zdawało mi się zbyt gorączkowem, aby było zupełnie naturalnem, ustąpiło miejsca milczeniu ponuremu. Było już czas, abyśmy powstali od stołu.

Kiedyśmy znaleźli się sami w jego pokoju, musiałem bardzo się natężać, aby rozmowa nasza nie urwała się zupełnie. Był widocznie w gorączce i jakby pomięszany.

Nie mogąc wytrzymać dłużej począłem w ten sposób:

— Jesteś szczęśliwym wuju! Ciotka jest osobą zachwycającą. a posiadasz córeczkę, którą miałbym wielką ochotę ci zabrać.

Jego twarz zmarszczyła się, pobladł strasznie.

— Nie ma na świecie człowieka bardziej nieszczęśliwego odemnie... odpowiedział i pod nawałem wrażenia zbyt nagłego począł szlochać. Opamiętał się jednak wkrótce i dodał tonem gorzkiej ironii:

— Nie prawdaż, to nierozsądnie, płakać w moim wieku! Nie jestem przecież słabą niewiastą, wiesz o tem. Niech mnie poszlą na armaty, niech dostanę wiadomość o stracie mego majątku, a nawet — co niech mię Bóg broni! — o śmierci mego dziecka, mojej jedynej pociechy! nie złamie to mojej równowagi... Ale być nienawidzonym od własnej żony, żony, która się ubóstwia, która jest mojem życiem, — przed tem upadam bez siły i woli! Jesteś jedyną istotą na świecie, w obec której spowiadam się z mej nędzy, i jedyną pozostaniesz. Wybuchłem płaczem, nie byłem wstanie powstrzymać się. Zanadto cierpię, rozumiesz... zanadto! przebacz...

Chwyciłem go za ręce: były bardzo gorące.

— Przesadzasz sytuację, z pewnością przesadzasz wuju. Żona twoja, młoda kobieta, nie czuje ku tobie tego, co nazywamy miłością: ale nienawidzieć ciebie poznawszy, jest niepodobieństwem. Człowieka tak godnego nienawidzieć nie jest się w stanie. wypowiadam wojnę czy to kobiecie czy mężczyźnie, który ciebie nienawidzi. Uśmiechnął się smutnie spuszczając głowę.

— Niestety! nie przekonasz mnie. Nietylko mnie nienawidzi, nie znosi, nadto jestem dla niej wstrętnym. Nie wiem nawet, czy nie jestem dla niej wprost obrzydliwym? Moja obecność przyprowadza ją do rozpaczy Powiedziała mi to.

— Mówią się nieraz takie rzeczy mężowi w chwili rozdrażnienia, bezmyślnie. Do kroćset! Niepodobna przecież żywić uczucia tak ohydnego przeciwko osobie, która na to nie zasłużyła, a przeciwnie przez swe postępowanie godna jest miłości, a na wszelki wypadek szacunku.

Można nienawidzieć to, co się szanuje. A potem zapominasz, że ten ktoś jest mę-

żem. Miałem nadzieję do niedawna zmienić ją siłą ustępstw i względów. Moje względy jednak i grzeczności jeszcze bardziej ją rozjątrzyły. Oświadczyła mi przed ośmiu dniami, abym się nią więcej nie zajmował i uwolnił ją od widzenia mojej osoby i słyszenia głosu mojego, oświadczyła, że nie jest w stanie słuchać mego kichania, nie znosi mego chodzenia w przedpokoju! Powiedziała mi także, że nie może patrzeć na mnie, gdy jem. Śniadam dlatego osobno, a obiaduję najczęściej za domem; jeżeli wracam na obiad do domu, staram się przychodzić później po obiedzie i obiaduję na osobności. Przyszło nawet do tego, że nie chciała nosić nadal mojego nazwiska, nazwiska twojej matki, a ja słaby, zmieniłem je — co za nędza! na Satigny. Podług tego nazwiska znana jest w świecie: przed służbą lubi mnie nazywać czasem Duval.

Takie jest nasze położenie. Ach! zrobiłem szalone głupstwo żeniąc się, teraz pokutuję... o! pokutuję strasznie.

— Jeżeli rzecz tak się ma, odparłem, dlaczego nie weźmiesz rozwodu? Byłoby to lepiej dla ciebie i dla niej.

Separować się! To już dokonane. Jeżeli by nie twoje przybycie, nie bylibyśmy się widzieli dzisiaj. Nasz rozwód jest zupełny, mimo to mieszkamy pod jednym dachem; na co mu dać uświęcenie sądowe, któreby dosięgło nasze dziecię? Ach! gdyby nie ta droga dziecina, zakończylibyśmy prędko w jakikolwiek bądź sposób... Ofiara każda byłaby dla mnie oswobodzeniem w porównaniu z męczarnią, którą cierpię, zostając. Wszystko nas rozłącza, wyjąwszy córkę, wiążącą nas mimo naszej woli; ona to mnie zatrzymuje w tym domu, w którym stary błazen, marzyłem o raju, a który jest piekłem najgorszem z piekieł!

To przerażające odkrycie przygniotło mnie, oniemiałem.

Służący wszedł, by zabrać naczynie od kawy.

Gdy wyszedł wuj mówił dalej:

— Moja służba widz to wszystko, jest to ostatni stopień poniżenia. Nie jestem nawet w stanie ukryć boleści w mem sercu, bo mogłoby pęknąć z żalu. Mówiłem ci, jesteś jedyną istotą przed którą się spowiadałem z mych mąk; to prawda, ale czy wystarcza, niestety! milczeć aby zachować tego rodzaju tajemnicę? Jest to rzeczą nie podobną. Cały Paryż pozna wkrótce nasze położenie, a świat będzie miał śmiać się z czego!

— Czy chcesz abym cię zabrał wuju, i abyśmy uprowadzili twoją córeczkę?

Zdawał się namyślać chwilę nad tą niespodziewaną propozycją.

— Nie, odrzekł, dziecko by umarło, a zresztą prawo zabrania tego. Potrzeba by je zwrócić matce. Jeżeli rozwód byłby dozwolony, proponowałbym sam mej żonie przerwać łańcuch, który ciągniemy razem, a oddalając go od siebie tylko bardziej rozciągamy. Ale prawo zabrania mi naprawić moje głupstwo. Ono nas sprzęgło razem. Trzyma w ręku klucz tego łańcucha, którego nie możemy złamać, a nie wolno nam przerwać legalnie!

Mówił prawdę. Żal mi było głęboko biednego człowieka.

— Przynajmniej to cię powinno pocieszyć, że masz żonę uczciwą, podczas kiedy tyle innych kobiet, nie posiadających jej piękności...

Moja uwaga, którą wypowiedziawszy żałowałem zaraz, uczyniła na nim wrażenie uderzenia kuli działowej.

Uczciwa kobieta! tak wierzę temu, ale do jakiego czasu? O! jeżeli by mój honor miał być kiełyś podobnie naruszony, jak moje szczęście, nie przeżyłbym tego, bo kocham ją jeszcze, szalony, jak w pierwszym dniu, kocham ją może bardziej; jej pogarda wznieca moją miłość i egzaltuje. Poruszyłeś ranę chłopcze. Żyję w ciągłej bojaźni, pot zimny oblewa mnie gdy myślę o tem, a myślę codzień. Jestem podobny do skazańca, siedzącego na stopniach rusztowania, któremu kat użycza chwili zwłoki Spodziewać się chyba cudu? Ona jest młoda, gorąca, mimo pozornego wzniosłego chłodu, i jedna z najbardziej czarujących kobiet: czyż mogę sądzić, że nie pokocha innego? Może już pokochała, może pokocha jutro...

Chętnie byłbym ominął odpowiedzi. Ale moje milczenie wyglądało by na potakiwanie, lub przynajmniej powątpiewanie na korzyść bojaźni, o której mówił. Szukałem dlatego w mej głowie odpowiedzi, która by nie była banalną, ani też czysto formalną, gdy wejście lokaja uwolniło mnie od niej.

— Pani, rzekł tenże zwracając się prosto ku mnie, jedzie do Opery; kazała pytać się pana, czy nie raczył byś jej towarzyszyć. Zdziwiony dosyć, popatrzyłem na wuja z miną pytającą.

— Jedź, mój drogi, powiedział tonem najzwyklejszym w świecie. Korzystaj z sposobności. Nasza loża wyborna; dają Fausta, a Nilson gra Małgorzatę. Nie zobaczysz czegoś takiego w twych górach algerskich.

I nie zostawiając mi wcale czasu do namysłu, odprawił służącego temi słowy:

— Powiedz pani, że siostrzeniec będzie jej towarzyszył z przyjemnością, i w tej chwili jej służy.

— A więc to na serjo wuju? spytałem gdy lokaj odszedł. Jedziesz z nami, nie prawdaż?

— Nie idę nigdy do teatru z moją żoną.

— A więc...

— A więc, całkiem naturalnie, siostrzeniec z nią pojedzie. Zaręczam ci, zrobi ci to przyjemność, nie pożałujesz fatygi. Potrzeba zresztą, abyś odnowił znajomość z twą ciotką; przywłaszczyłem sobie ciebie od twego przybycia, ciotka ma prawo się gniewać. Będziesz miał większą przyjemność rozmawiać z nią, i napawać się piękną muzyką, aniżeli słuchać narzekania starego gderacza. Należy ci się wynagrodzenie, a zresztą, dodał tonem pół żartobliwym ale zniżając głos,—mówię nie tylko w twoim interesie, ale i w moim, bo liczę na ciebie, że prz sposobności wstawisz się za mną słówkiem. Młodzi adwokaci bywają usłuchiwani. Spuszczam się na twoje dobre serce. A więc, prędko jesteś oczekiwany. Życzę ci pomyślności.

— Dziękuję wuju, możesz liczyć na mnie. Moja ciotka była już usadowiona w powozie, gdym zeszedł.

— Zdaje się mój panie, zagadnęła mnie swym tonem szczególnym, kiedy zająłem miejsce obok niej,—że Afryka nie jest wcale szkołą grzeczności. Spostrzegam to od pięciu minut.

Wielce przepraszam panią... ciocię, ale wuj...

Uderzenie ostre wachlarzem o róg drzwiczki dało mi znak milczenia.

— Lubisz pan muzykę?

— Bardzo.

Nie słyszałeś jej często w brzydkiej fortecy Napoleon?

A pani zkąd wiesz o tem?

— My kobiety wiemy o wszystkiem, chociaż nie znać to po nas, jest to przeciwny stosunek do mężczyzn. Uważam, że mężczyźni są naiwni... w ogóle. Znasz przynajmniej utwór Gounoda ze słychu?

— Tak jest.

— Czy lubisz Mozarta?

Nadzwyczaj.

To mnie dziwi.

Dlaczego?

— Nie wyglądasz na to.

— Jakto?

— Jest to rzecz prosta. Aby się lubować w czułych arjach w rodzaju Mozarta i Gounoda, trzeba być zakochanym lub zdolnym zakochać się na przyszłość. Sądzę zaś, że jeżeli byłeś kiedy zakochanym, w co pozwalam sobie wątpić, nie będziesz nim nigdy więcej...

— Czy uczynię, dobrze gdy zachowam serce chłodne?

— Zależy to od okoliczności...

Przybyliśmy po uwerturze.

— Otóż co to znaczy, powiedziała, dać czekać na siebie.

Loża wybornie była położona, naprzeciw sceny i dostatecznie głęboka dla ukrycia się w niej przed wzrokiem publiczności. Zamiast usiąść na przodzie Alina usiadła w cieniu. Zasłona podniosła się do pierwszego aktu. Podczas całego czasu trwania przedstawienia, do północy, nie zwróciła się do mnie ani jednem słóweczkiem, i nie widziałem żadnego poruszenia jej twarzy, ani raz usta jej nie zadrgały, najmniejszy giest nie zdradzał doznanych wrażeń. Zdawała się zadowoloną z wizyt, które odbierała w międzyaktach, że ją uwalniały od rozmowy ze mną.

Byłoż to na przekor?

Przebiegły Edyp, nie szukający południa w czternastej godzinie, byłby niezawodnie znalazł określenie dla sfinksu z marmuru, którym mimowoli zachwycałem się; określenie to opiewa: kobieta! Ale ja nie należę do rasy Edypów i nie mam się wcale za bardzo przenikliwego, nawet gdy idzie o mężczyznę. Co do kobiety gubię się, przekonałem się zresztą, że w tym względzie nie różnię się wcale od najzręczniejszych. Nie opłaci się więc szukanie. A zresztą znalazłszy zagadkę straciło by się urok. To co najbardziej przyciąga serce i umysł, to owa nieświadomość zostawiająca szerokie pole imaginacji. Mimo to zadawałem sobie wewnętrzne pytanie, co uczyniłem tej zachwycającej osobie, że ona w ten sposób ze mną się obchodzi? Ona być musi— myślałem, patrząc na nią z ciekawością, która podziwia,—aniołem lub szatanem. Szatanem, niestety! dla biednego wuja. W ten sposób przeszedł dla mnie ten pamiętny wieczór, w którym obok myśli moich, przepełniony byłem uczuciami, jakie poddawała mi muzyka czysto miłosnej treści. (D. c. n.)

Obyczaje kupieckie.

Studjum Herberta Spencera.

(Przełożył L. Iulender.)

(Ciąg dalszy.)

Ludzie się z niem oswajają, a tym, którzy się opierali, coraz trudniej jest się utrzymać. Konkurencja gniecie ich coraz bardziej. Muszą toczyć nierówną walkę, dla nich bowiem zamkniętem jest źródło zysków, z którego czerpią ich przeciwnicy! W końcu zmuszeni ąs ustąpić i trzymać kroku z innymi.

Świece zwykłego gatunku sprzedają się — jak wiadomo — w paczkach, z których każda ma ważyć funt. Z początku waga nominalna zgadzała się z rzeczywistą. Dziś dzieje się inaczej: brakuje zwykle ¼ uncji do 2, a czasem różnica wynosi 12½ %. Gdy jaki uczciwy fabrykant świec oferuje detaliście towar, przepuśćmy po 6 szelingów funt, odpowiada mu tenże: „O ja mogę dostać po 3 szyl. 8 pensów.“ — „Lecz moje, odpiera fabrykant, mają pełną wagę, a te co pan kupujesz po 5 szyl. 8 p. jej nie mają,“

— „Cóż mi to szkodzi? Mowi na to kupiec, funt świec, to funt świec, moi kundsmani biorą paczki i nie troszczą się wcale o różnicę, jaka zachodzi między pańskiemi paczkami a innemi.“ Tak więc fabrykant uczciwy, spotykając się wszędzie z tem samem rozumowaniem, przychodzi w końcu do przekonania, że mu nie pozostaje, jak przyjąć fałszywą wagę, lub porzucić interes.

Oto fakt inny: mamy go zarówno jak poprzedni, z ust osoby, która zmuszoną była sama poddać się ogólnej praktyce.

Tym razem chodzi o znane tkanki elastyczne, tyle teraz używane do butów, i t. p. Pewna firma londyńska, z którą nasz przyjaciel miał liczne interesa, przysyła mu raz próbkę takiej elastyki, pochodzącą od jakiegoś konkurenta, z zapytaniem, czy może wyrobić taki sam towar po tyle a tyle jard (wymieniając cenę niższą od tej, którą dotąd pobierał) dał mu także do zrozumienia, że jeśli nie może, to on (piszący) uda się w inną stronę. Zagadnięty w ten sposób, jął troczyć próbkę, (którą nam pokazywył,) i przekonał się, że mnóstwo nici nie było jak należy — z jedwabiu lecz z bawełny. Doniósł o tem firmie oświadczając zarazem, że z taką przymieszką może dostawić towar pe cenie proponowanej; jakoż przy pierwszej sposobności otrzymał zamówienie pod rzeczonemi warunkami. Widział on jasno, że gdyby działał inaczej, straciłby znaczną część swych interesów. Widział także, ze jeśli tym razem nie da się namówić, to będzie zmuszonym uczynić to samo później; należało się bowiem spodziewać, że inni fabrykanci tkanek elastycznych jeden za drugim zobowiążą się wyrabiać falsyfikaty po cenach odpowiednio zniżonych tak, iż nareszcie on sam jeden produkowałby pozornie tę samą tkankę, po wyższej jednak cenie i rozumie się nie znalazłby na nią kupca. Fabrykant, o którym mowa, jest jak się o tem dokładnie przekonaliśmy, człowiekiem niezwykłej delikatności i zacności charaktru, a jednak widzimy, jak przemocą prawie wtrąconym został w odmęt oszustwa.

Jest to przerażające, a jednak prawdziwe: ten co się opiera korupcji częstokroć naraża się na bankructwo, a nieraz wprost do niego zmierza. Nie jest to prosty wniosek logiczny na powyższych faktach oparty, mamy przykłady stwierdzające powyższe twierdzenie. Pewien sukiennik (mamy tę opowieść z ust człowieka wychowanego w jego domu), który nie pozostawił był swego sumienia przededrzwiami sklepu, niedał się nakłonić do oszustw praktykowanych w handlu. Nie chiał podawać swych towarów za lepszy gatunek istotny, nie utrzymywał, że model jest nowym, gdy pochodził z ubiegłego sezonu, nie mówił także, że się materja będzie dobrze prała, gdy wiedział, że kolor jej pełznie. Unikał słowem wszelkich malwersacyj, praktykowanych przez konkurentów. Wnet się okazało, że z dniem każdym ubywało mu kupców na artykuły, które konkurenci pozbywali ciągle za pomocą kłamstw. Interes jego szedł tak źle, że dwa razy popadł w bankructwo. Zaś nasz interlokutor mniema, że temi bankructwami wyrządził on więcej złego swoim bliżnim, aniżeli by był wyrządził trzymając się praktyk nieuczciwych, utartych w handlu.

Widać stąd, o ile kwestja ta jest skomplikowaną, i jak trudno jest ocenić winę kupca. Często (możnaby powiedziać: zazwyczaj) ma on do wyboru między dwoma błędami. Próbował on postępować w interesie jak najskrupulatniej, sprzedawał zawsze tylko niesfałszowane towary, dawał dobrą miarę. Tymczasem konkurenci jego fałszują towar lub uciekają się do innych sposobów oszukańczych, i są w stanie sprzedawać po niższych cenach. Klienci jego, nie umiejąc należycie ocenić jego towarów co do jakości i ilości, zachęceni natomiast pozorną taniością innych magazynów, opuszczają go. Rzut oka na księgi handlowe wnet zmniejszające się z dnia na dzień, niedługo będą za małe, aby pokryć przyjęte zobowiązania i utrzymać rodzinę ciągle się zwiększają. Cóż więc ma robić wobec tego? Czy ma iść dalej tą drogą i zawiesić wypłaty: przyprawić swoich wierzycieli o grube straty, a siebie i rodzinę rzucić na bruk? Czy też pójść za przykładem swoich rywalów: uciec się do ich środków i oferować klientom te same co oni urojone korzyści? Ostatnia ta alternatywa nietylko jest najmniej przeciwna jego interesom, lecz zdaje się także najbardziej zgodną z interesem drugich osób. Zresztą wszystko to czynią ludzie co uchodzą za zupełnie *„respectable“*. Pocóż niszczyć siebie i rodzinę, aby uchodzić za bardziej uczciwego od innych? Uczyni więc to co oni czyną.

Takiem jest położenie kupca, takiem rozumowanie, ktorem się usprawiedliwia. Trzeba być bardzo już surowym, aby go potępić. Ani słowa, rzeez ma się czasem i-

naczej. Są niektóre gałęzie w handlu, w których konkurencja nie tak silnie występuje. Wtedy niema już wymówki, gdy się kto da wciągnąć w nieuczciwe praktyki; w tych zresztą wypadkach mniej się te praktyki napotykają; tak samo wielu kupców zdołało wyrobić sobie dostateczną klientelę bez użycia drobnych łotrostw; jeśli więc ci zniżają się do takiego stopnia, to niemasz dla nich usprawiedliwienia. Nadto bywają ludzie, którzy z chciwości, a nie z konieczności wynajdują owe fałsze i przebrzydłe oszustwa. Na tych to oburzać się winniśmy głównie naprzód dla tego, że sami stają się winnymi, niemając usprawiedliwienia, dalej zaś dla tego, że pociągają do złego i drugich. Pomińmy zresztą tych ludzi, których w końcu bywa nie wiele,*) cała zaś masa kupców przedstawiających zwykły tryb interesów, zdaniem naszem zasługuje na mniej surowy sąd, gdyż zmuszeni są iść za ogólnym prądem, skoro chcą uniknąć zguby. Ze wszech stron tedy doszliśmy do przekonania, że ludzie oddający się zwykłemu handlowi mają do wyboru dwie tylko rzeczy: przyjąć praktykę używaną przez konkurentów, lub porzucić interes. Mówiliśmy z ludźmi rozmaitych zawodów i rozmaitej kondycji, — rozumie się z sumiennymi i widocznie wzdrygającymi się wobec poniżenia, do jakiego byli zmuszani — i jednym głosem potwierdzono nam, że nie podobna w handlu postępować z zupełną ścisłością, każdy z nich zresztą zapewniał, że człowiek skrupulatnie uczciwy musi koniecznie uledz.

Jest jednak jeden przedmiot, o którym w zeszłym roku wiele pisano w dziennikach, a który zatem możemy tu szerzej traktować: są to wykroczenia praktykowane w interesach bankowych. Możemy przyjąć za pewne, że dotyczące fakta są powszechnie wiadome, i poprzestaniemy na kilku objaśnieniach.

Według świadectwa osoby, której sąd co do trafności mało kto przewyższa, rzadko się zdarza, aby dyrektor banku akcyjnego wprost i bezpośrednio popełniał jaką nieuczciwość. Wyjąwszy pewne znane wypadki, można w ogólności przyjąć za fakt, że dyrektorowie nie mieli bezpośredniego interesu w spekulacjach tak zgubnych dla akcjonarjuszów; najczęściej się zdarzało, że oni pierwsi na tem ucierpieli*) Wina ich zawierała się raczej w tem, że nie mieli dostatecznie na uwadze swojej odpowiedzialności. Często rzucali się oni bez dostatecznej świadomości w odmęt interesów, w które rzucono kapitały ogromne, od biedaków pochodzące. Zamiast starać się o lokację tych funduszy tak, jakby te były ich własne, wielu okazywało w tej mierze lekkomyślność karygodną: bądź to lokowali kapitał nie troszcząc się o pewność, bądź też pozwolili działać swoim kolegom nie pytając, jak działają. Ani słowa, można przytoczyć nie jedno na ich obronę. Wiadomo, że sumienie w większem ciele (korporacji) zawsze bywa słabszem, gdyż odpowiedzialność jest podzieloną: jest to okoliczność łagodząca. Można jeszcze przytoczyć na korzyść tych zbrodniarzy, że skoro akcjonarjusze, bacząc przedewszystkiem na bogactwo i stanowisko osoby, obierają dyrektorem nie najzdolniejszego, najbardziej doświadczonego, nie człowieka wypróbowanej uczciwości, lecz człowieka, który ma najwięcej pieniędzy i najwyższe stanowisko społeczne, że mówimy w takim razie ganić należy nie samych tylko tych, co w ten sposób obrani zostali, lecz po części i tych, co ich wybierali, nadto nagana spaść winna na publiczność niemniej jak na akcjonarjuszy, gdyż nierozsądny wybór dyrektora wypływa po części ze znanych przesądów depozytarjuszy.*)

Lecz to przyznawszy uznać należy, że zarządcy banków, którzy ryzykują pieniądze klientów, pożyczając je spekulantom, pod względem moralnym są bliskimi kuzynami samych spekulantów. Spekulanci ci ryzykują obce kapitały w przedsiębiorstwa, z których się spodziewają zysków; to samo czynią dyrektorowie, pożyczając im na to pieniądze. Oni też z pewnością powiedzą, że skoro pożyczali pieniądze, to tylko w nadziei, że im będą zwrócone z grubym zyskiem, tamci zaś mogą tak samo utrzymywać, że z obrotu swego spodziewali się nietylko wycofać włożony kapitał, ale jeszcze i zysk. W obydwu wypadkach transakcja jest tego rodzaju, że — gdy się nie uda, szkoda nie tyle dotknie działającego, co innych.

Można — co prawda — utrzymywać na korzyść dyrektora, że on przedewszystkiem miał na oku dobro swoich komitetów, podczas gdy spekulant myślał o swoim własnym interesie; lecz na to jest odpowiedź, że jeśli dyrektor dał się skusić do grzechu przez powód mniej naganny, to sam przez to nie na mniejszą między dwoma zasłużył naganę. W istocie rzecz ma się tak: Jeśli dyrektor banku pożycza kapitały akcjonarjuszów ludziom, którymby własnych kapitałów nie pożyczył, to nadużył zaufania. Śledząc odmiany zbrodni, możemy rozróżnić kradzież drugiego stopnia, trzeciego i t. d. Bez wątpienia ten, co spekuluje obcemi pieniądzmi nie może być obwinionym o kradzież w zwykłem słowa znaczeniu, lecz o kradzież drugiego stopnia: on bowiem z rozmysłem naraża obce pieniądze, mając z góry powzięty zamiar: zagarnąć sobie ewentualne zyski, zaś straty ewentualne pozostawić drugiemu. Wina jego jest więc rodzajem spotęgowanej kradzieży. Odpowiednio więc do tego, osoba, która jako dyrektor banku sprawując urząd zaufania, oddaje w ręce spekulanta powierzone sobie pieniądze, musi być nazwany wspólnikiem możliwej kradzieży.

Jeżeli tak srodze potępieni są ci, co pożyczają spekulantom pieniędzy depozytowych, jak również spekulanci, którzy je wypożyczają, to cóż powiedzieć o ludziach bardziej jeszcze winnych, — o tych mianowicie, którzy nie tylko narażają obcą własność skoro im się ona dostanie w ręce, lecz nadto aby ją posiąść używają fint? Jak bowiem inaczej określić postępowanie tych, co robią pieniądze zapomocą tak zwanych „weksli grzecznościowych“ (*billets de complaisance*)?*) Dwie osoby *A* i *B*, zmawiają się, że jeden wystawi, drugi przyjmie (zaakceptuje) na 1000 funtów szterlingów „wartość otrzymana“; w rzeczywistości zaś między nimi, nie było ani dostawy towarów, ani wypłaty gotówki; tranzakcja więc owa nietylko jest kłamstwem ucieleśnionem, lecz kłamstwo to staje się następnie żywem i działającem. Ten co eskontuje ów weksel, czyni to w przeświadczeniu, że *B* dostawszy 1000 funtów szter. w towarach, w chwili zapadnięcia wekslu znajdzie się w posiadaniu takiegoż waloru— bądź w towarach, bądź w gotówce, aby wykupić weksel. Gdyby on wiedział, że rzeczone towary nigdy nie były w ręku — ani pana *A*, ani pana *B*, a tem mniej inna jaka wartość przeznaczona na zapłatę wekslu, byłby go nie eskontował, nie pożyczał swoich pieniędzy manekinowi, nie dającemu żadnego zabezpieczenia.

W gruncie rzeczy jest to tak samo, jak gdyby *A* wziął, z banku fałszywy list zastawny i kazał sobie nań pożyczyć pieniędzy. W praktyce „weksel grzecznościowy“ jest fałszerstwem. Mylnem byłoby zapatrywanie, że fałszerstwo zachodzi wtedy jedynie, gdy sporządzonym został dokument m a t e r j a l n i e fałszywy, t. j. zawierający

*)Zdaniem naszem autor zanadto różowo rzecz widzi. Ci co w y n a j d u j ą fałszerstwa i oszustwa w handlu, właściwie więc t w ó r c y systemu, który opanowuje cały świat kupiecki, to są ludzie chciwi a nie potrzebni; od nich zależy wyłącznie z m i a n a tego systemu, nie należało ich przeto „pomijać“ (Pr. tłum.)

*)Przypominamy, że mowa tu tylko o stosunkach a n g i e l s k i c h, i że rzecz pisana przed „rozkwitem ekonomicznym“ z lat siedmdziesiątych (Prz. tł.)

*)Autor zbyt wielką zdaje się przykładać wagę do „wyboru“ i kierowników bankowych; widocznie nieznana mu była instytucja t. zw. „S t r o h m ä n n e r ó w“ czyli „s ł o m i a n y c h“ akcjonarjuszy. (Pr. tłom.)

*) Do tej kategorji oszustw należą znane u nas do sytu t. zw. *Kellerwechsel*. (Tłum.).

fałszywy podpis lub inne cechy niezgodne z rzeczywistością; fałszerstwem — ściśle biorąc — jest tak samo i fabrykowanie dokumentów moralnie fałszywych. W czem bowiem zawiera się zbrodnia, gdy kto puszcza w obieg fałszywe banknoty? Oto nie w samej tylko mechanicznej imitacji ona jest tylko środkiem do celu i sama dla siebie nie stanowi żadnego czynu zbrodniczego. Zbrodnia raczej zawiera się w zamiarze nakłonienia innych do przyjęcia banknotu, który ma rzekomo przedstawiać pewną wartość a w istocie niema żadnej. Czy kto dopnie tego celu kopjując kształty liter i godeł — jak to ma miejsce przy fałszowaniu banknotów, — czy też kopjując dane formuły, jak w wekslach grzecznościowych, to jedno. W obudwu wypadkach nadaje się pozór wartości rzeczy, która jej niema wcale; w tem cała zbrodnia. Wprawdzie indosant wekslu grzecznościowego zazwyczaj spodziewa się, że w chwili zapadnięcia będzie w stanie zapłacić. Lecz jeśliby go ktoś chciał tem uniewinnić, niechaj też pomyśli o tem, że mnóstwo ludzi, którzy przysparzali sobie pieniędzy zapomocą fałszerstw w nadziei, że później będą w stanie zwrócić pieniądze, uznano mimo to za fałszerzy i jako takich skazano.

Twierdzimy więc, że fabrykantów weksli grzecznościowych zaliczyć należy do rzędu fałszerzy. Czy zyskałoby się wiele, gdyby prawo ich jako takich traktowało, tego powiedzieć nie możemy. Należy tu uwzględnić kilka kwestyj. Czy zmiana taka nie przedstawiałaby tej niedogodności, że powstrzymałaby mnóstwo tranzakcyj nieszkodliwych, jakie się zdarzają między ludźmi wypłacalnymi, pod pokrywką tej fikcji? Dajmy na to, że zabronionem będzie używać słów: „wartość otrzymana“ w wypadkach, gdzie nie było wypłaty wartości; czyż nie wyniknie stąd po prostu, że wkrótce ujrzymy nowy rodzaj weksli bez owych słów? Czy korzystniej jest, aby weksel zawierał dowód wyraźny, że przedstawia interes rzeczywiście zrobiony lub też nie? Czy nie możnaby ukrócić kredyt nielegalny przezto, iżby bankierowie i eskomtujący, na pewnych wekslach noszących żyro prostego spekulanta lub jakiego manekina, znajdywali wyznanie że to „weksel grzecznościowy“? Lecz nie myślimy się wdawać w dyskutowanie kwestyj ubocznych; chodzi tu jedynie o moralną stronę przedmiotu.

Jakkolwiekbądź, aby ocenić należycie doniosłość tego, pamiętać należy dwie rzeczy, że malwersacje tego rodzaju są bardzo liczne; dalej, że każda z nich pociąga mnóstwo innych. Pierwsze kłamstwo popełnione rodzi zazwyczaj dalsze kłamstwa, które znowuż powodują liczniejszą jeszcze serję kłamstw i tak dalej z progresją, ciągle wzrastającą. Skoro A i B w przeddzień terminu, w którym weksel zapada obejrzą się, że zysków spodziewanych ze spekulacji nie ma i skoro ujrzą, że — jak to się często zdarza, że interes ukończył się stratą, zamiast zarobkiem, lub jeszcze nienadeszła chwila zrealizowania spodziewanych zysków, albo też zyski — jeśli są — nie pokrywają nadmiernych wydatków, — słowem: skoro widzą, że niemogą wycofać wekslu, to mają nato jeden tylko sposób: fabrykować nowe weksle na pokrycie pierwszego. Gdy zaś doszło do tego, to powiedzą sobie zapewne, że lepiej wziąć od razu więcej, aby mieć pokrycie bieżących wydatków. Jeśli następnie szczęśliwym trafem nie uda im się wydobyć z matni, to ta sama gra rozpocznie się na nowo, i tak dalej. Tak trzymają się oni na powierzchni, dopokąd ich kryzys chwilowa nie zwali. Przez ten zaś czas, dzięki wielkiej liczbie będących w obiegu weksli z ich podpisami, — używają oni reputacji pewnego dobrobytu, który wzbudza zaufanie i ułatwia im zdobywanie nowych kredytów.

Zdarza się czasem, że przedsiębiorstwo przybiera znaczniejsze rozmiary: miewa się styczności z ludźmi rozsianymi po różnych miastach królestwa, a nawet w różnych częściach świata, którzy gotowi są do podpisywania weksli i w takim razie pozory jeszcze lepiej są zachowane i łatwiej przychodzi mydlić ludziom oczy. Jakkolwiekbądź jednak interesa te prowadzą się pożyczonym kapitałem i wypada opłacać procent; dla podtrzymania tedy tej zorganizowanej kradzieży, potrzebne są ciągle wydatki, a od czasu do czasu nawet nadzwyczajne ofiary. Gdy nadto ten system z konieczności pociąga za sobą sposób spekulowania nieracjonalny, fabryka fałszów lada dzień spodziewać się musi katastrofy; zaś upadając musi wprowadzić w ambaras nietylko swoich wierzycieli ale i wiele innych osób.

Złe nie tylko w tem się zawiera, że ten system od czasu do czasu wprost przyprawia o straty uczciwych kupców. Pośrednio wyrządza on im wiele innych jeszcze szkód. Fabrykanci fałszywego kredytu służą zazwyczaj za narzędzie do obniżenia cen. Aby się uwolnić z ambarasu, bywają oni nieraz zmuszeni sprzedawać ze stratą, gdyż inaczej nie mogliby płynąć dalej. Chociaż każdy z nich rzadko przychodzi w to położenie, to jednak wziąwszy na uwagę całą ilość przemysłowców tego rodzaju w każdej gałęzi handlu, co chwila zdarza się, że jeden lub drugi z nich widzi się zmuszonym do ofiar i przezto wywiera „quit“ na ceny rynkowe. Krótko mówiąc kapitał, wyłudzony podstępem od kilku kupców, trwoni się częściami na spekulacje, które innym handlującym przeszkadzają w robieniu interesów korzystnych: szczęście, jeśli ci ostatni nie popadną w ambaras znaczniejszy.

Mimoto jednak, jeśli mamy wyznać całą prawdę, potępienie na jakie zasługują te upiory handlu, nie powinno ograniczać się do nich samych tylko; należy je rozciągnąć także mniej lub więcej na klasę ludzi o wiele liczniejszą. Pomiędzy projektowiczem bez centa, który wyłudza kapitał za pomocą kłamliwych obietnic, a uczciwym kupcem, który nie przyjmuje więcej zobowiązań ani żeli może dotrzymać, wszystkie szczeble drabiny są zajęte. Od interesów, robionych jedynie obcym kapitałem podstępnie wyłudzonym, przechodzimy do tych, które się robią kapitałem w dziesiątej części realnym, w dziewięciu zaś dziesiątych pożyczonym; stąd do innych interesów, w których stosunek kapitału rzeczywistego do fikcyjnego jest trochę korzystniejszym, i tak dalej — aż dojdziemy do ludzi, którzy tylko nie znacznie po nad stan robią interesa. Stopnie, po których dochodzimy od jednej ostateczności do drugiej są całkiem nieznaczne, a najmniej winni jeszcze nie są całkiem wolnymi od plamy, która na drugich tak jest widoczna. (C. d. n.)

Przegląd literacki.

(Pierwszy romantyk opowiadanie z przeszłości spod Aer, wydane w Krakowie nakładem redakcyi Przeglądu polskiego).

Sympatyczny pisarz ukrywający się pod pseudonimem Aer, a znany z kilku pomniejszych prac nowellistycznych, wystąpił niedawno z dziełem, które zasługuje na większą uwagę. „Opowiadanie z przeszłości“ bowiem, jak je skromnie nazwał autor jest wyborną powieścią historyczną z czasów Stanisława Augusta skreśloną z wielkim talentem, piórem barwnem i z głęboką znajomością ducha epoki, na której tle rozsnuwa się opowiadanie. Bohaterem jego jest Franciszek Dyonizy Kniaźnin nieszczęśliwy z owej epoki poeta, którego życie więcej aniżeli dzieła słusznie zjednać mu może tytuł pierwszego „romantyka“. Żywot jego skreślony na tle okoliczności i wypadków w których poeta mniejszą lub większą odgrywał rolę, został przez autora, jako temat do powieści świetnią wyzyskany. Niemasz tu naturalnie nawięzywanych sztucznie intryg i sytuacyj strasznych rozpalających fantazję czytelnika; tu autor działa inaczej. Środkami na pozór bardzo prostemi, których używać wszakże umie

z mistrzowską wprawą, przykuwa uwagę czytelnika, tak, że rzecz która ostatecznie dałaby się streścić na kilku kartkach encyklopedji literatury, czyta się z wielkiem zajęciem i korzyścią... Albowiem obok kreślenia żywo ta poety opowiada autor sposobem barwnym, językiem odwzorowanym znakomicie z zabytków epoki owej, całe niemal panowanie ostatniego króla Polski, z wielką ścisłością i bezstronnością sumiennego badacza. Stosunek poety do księżniczki Marji Czartoryskiej, późniejszej księżnej Wirtemberskiej, stanowiący właściwą fabułę dramatyczną powieści, odmalowany tu także zajmująco, zwłaszcza, że autor z niepospolitą bystrością głębokiego psychologa motywuje romantyczny charakter młodej księżniczki, rozkochanej w ideale „ojczyzny". Postać bohatera jak i innych osób w opowiadanie wchodzących występuje plastycznie, i wszystkie wrażają się głęboko w umysł czytelnika, stają przed nim jakby żywe, a to podobno już najwięcej, co można powiedzieć w pobieżnej wzmiance o zaletach dzieła Aera, które radzibyśmy widzieć w każdym domu polskim, obok dzieł Rzewuskiego. Takie bowiem miejsce przyznać należy, „Pierwszemu romantykowi", jednej z najlepszych prac współczesnego nam pisarza.

Przegląd muzyczny.

II. Koncert historyczny ks. Marceliny Czartoryskiej.

W drugim koncercie historycznym, danym 21go b. m. w sali Towarzystwa muzycznego przez ks. M. Czartoryską przy współudziale chórów i orkiestry Towarzystwa usłyszeliśmy powtórnie wzniosłą pieśń „Bogarodzico tym razem z większą swobodą przez chóry Towarzystwa odspiewaną, skąd też wrażenie, jakie na bardzo licznie zgromadzonej publiczności zrobiła, było silniejsze, niż za pierwszem jej wykonaniem. Następne trzy chóry słuchane z „namaszczeniem", byłyby z większym pożytkiem (?) i na dłuższy czas utkwiły w pamięci publiczności, gdyby do programu dodano ich tekst, (co zresztą za granicą jest w zwyczaju) gdyż toby było umożliwiło tym przynajmniej słuchaczom, którzy nie dla pokazania się tylko byli na koncercie, zastanowienie się nad stosunkiem, w jakim muzyka tych utworów zostaje do ich treści i o ile kompozytor potrafił uwydatnić w muzyce charakter i usposobienie jakie wyrażają słowa. Rzecz ta zdaje nam się dość ważną; gdyż np. co do „Pieśni weselnej" króla Zygmunta Augusta, nie podobna było dociec, w jakim związku ona być mogła z weselem. Sucha, bezbarwna, zupełnie nie charakterystyczna, mogłaby się równie dobrze „pogrzebową" nazywać. — Jeden numer pierwszej części programu, z niewiadomych nam przyczyn opuszczono; może w chęci zapobieżenia znużeniu publiczności, której cierpliwość przed rozpoczęciem koncertu, p r z e s z ł o p ó ł g o d z i n y s p ó ź n i o n e m, w obec napisu na afiszach „początek z u d e r z e n i e m $12^{1}/_{4}$ w południe" na zbyt twardą próbę narażono.

Drugą, bardziej zajmującą, bo dzieła nowoczesne obejmującą, część koncertu rozpoczęto finałem z wielkiej konkursowej symfonji Fel. Ig. Dobrzyńskiego (temat: „Albož my to jacy tacy...") pod energiczną batutą kapelmistrza orkiestry teatralnej p. Przibika. Trudne to finale, w którem podziwiać można w całej pełni znakomity talent w instrumentowaniu, zupełną znajomość orkiestry i wszystkich jej tajników, czem się odznaczał ś. p. Dobrzyński — wykonane zostało z ogromną werwą a przytem sumienną dokładnością w oddaniu wszystkich odcieni i — zelektryzowało słuchaczów, którzy się też długo uspokoić nie mogli raz po raz wywołując dyrygenta. Jeżeli się temuż należy słuszne podziękowanie za wzmocnienie orkiestry przyciągnieniem do niej sił nowych, z grona muzyków pod jego wpływem zostających, to jeszcze bardziej zadowoleni byśmy byli, gdyby się dało i do działu kwartetu smyczkowego tej orkiestry, przywabić więcej adeptów młodych a s t a ł y c h i w y t r w a ł y c h. (Brak smyczkowych instrumentów, a szczególnie skrzypców pierwszych i drugich ogromnie czuć się dawał). Kiedy już mowa o orkiestrze, nie możemy pominąć dwóch numerów dopełniających program niedzielnego koncertu. — „E l e g i ą" Karpińskiego wykonaną pod tąż samą dyrekcyą, nie zachwyciliśmy się wcale; charakter jej, a zwłaszcza marcjalny ustęp środkowy nie koniecznie odpowiedni t y t u ł o w i. Wspaniały polonez Żeleńskiego wykonano dobrze, tylko tempo wzięto za leniwe, co trudnościami jakie ta kompozycya daje do zwalczenia tłumaczyć musimy. Tu znów brak dobrze obsadzonego kwartetu, tego szkieletu każdej orkiestralnej budowy, jeszcze bardziej niż w poprzednich utworach czuć się dawał. Mimo całego wysilenia tych kilku skrzypków, którzy współdziałali, niedała się pokryć (szczególnie w pianach i pianissimach) ta, że tak powiemy, chudzizna tonu, — i ten brak pełni i zaokrąglenia w „forte", przez który najważniejsze efekta instrumentacyi dla nas ginęły. Czy w obec tego kardynalnego braku, wypada jeszcze zaznaczyć, że w triu (trio) poloneza, które się najwięcej podobało zamiast fortepianu wolelibyśmy arfę?!

Dwa spiewy solowe, nokturn Chopina i Mazurek Grossmanna „Ptaszku luby" (z Ducha Wojewody) wygłosiła pni A. Głos metaliczny, pełny, dzwięczny, o nadzwyczaj miłem „timbre", biegłość i piękna deklamacya, świadczą pochlebnie o wielkim talencie dyletantki i o zdolnościach nauczycielskich pana Darewskiego, który miał być — jak nas zapewniono — jej maestrem.

Hołdując znakomitym zdolnościom dyrektora naszego konserwatorjum p. K. Mikulego, odegrała szanowna inicyatorka koncertu Baladę i Walc jego kompozycyi, przyczem wystąpiły zarówno piękności utworów jak i artystyczne usposobienie wykonawczyni, szczególniej walc odznaczający się niezrównaną szlachetnością i elegancyą w obrobieniu, misternie wykonany przeciągłe wywołał oklaski. Nie mniej dobrze wypadły na zakończenie koncertu — a więc już po części pod wpływem szmeru i niespokoju w sali — wykonane: Nocturne (op. 62 Nr. 1 Hdur) Chopina, o ile sobie przypomnieć możemy, nigdy przedtem we Lwowie publicznie nie grany a więc tem samem, nie dla każdego słuchacza równie przystępny — i dwa śliczne Mazurki Chopina, z których pierwszy Cismoll op. 30 Nr. 4 z powodu kwint, których krytycy, zwłaszcza niemieccy, darować Chopinowi nie mogą tem bardziej, że w zewnętrznym głosie przychodzą (nawet Ambros, choć w 8mej Etudzie op. 25, gdzie ich jest cała girlanda z powodu, że genjalnie wprowadzone, musiał się z niemi pogodzić) znany jest powszechnie w świecie muzycznym. *L.*

ZIARNKA.

„Wybory do Rady miejskiej, które się odbyły we czwartek mocno rozruszały zwykle drzemiących mieszkańców naszego miasta. O zasady nie szło, jednak mimo to ruch ten, jak każdy inny w obec ciągłej apatji uważamy za objaw pocieszający. Polemika plakatowa przybrała prawdziwie amerykańskie rozmiary; co chwila pojawiał się nowy mesaż do narodu, i co chwila kursowały nowe odezwy, prasy drukarskie jęczały dnie i noce. Jeżeliby kto potrudził się zebrać wszystkie odezwy, jakiemi formalnie zasypywano mieszkańców poczciwego Lwowa miałby kolekcję nader ciekawą, dobrze ilustrującą stopień wykształcenia naszych współmieszkańców. Przeważnie odezwy były źle pisane pod względem językowym i zawierały same nic nie znaczące frazesy, w których co słowo była obelga, co słowo kalumnja. „Podły denuncjant", „człowiek bez czci i wiary", „zdrajca" itd. takie komplementa rzucali sobie wzajemnie zacięci przeciwnicy. Nie brakło nawet pewnego orędzia do narodu z winietą słynnej „Jägermanówki" na czele, podawanego z rąk do rąk, którego tenor mógłby być umieszczony chyba w jakiem piśmie

pornograficznem. Nadużywanie poważnych haseł było na początku dziennym, a agitatorowie ciągle mieli na ustach „Boga“ i „Ojczyznę“. Kursowała lista licha z wizerunkiem Kościuszki, lista, której członkowie stoją w takim stosunku do narodowego bohatera, jak obozowy ciura do naczelnego wodza... Były to nadużycia, czysto „tromtadracskiej“, natury, które nas nie oburzają, ale śmieszą. Ale i to minęło, a po dniu szału wyborczego, większość tych, którzy się najbardziej zapalali zapytuje się po cichu: o co nam chodziło?

* * *

Czytamy w „Prawdzie“ Po wielu pismach obiegła radosna wiadomość, że p. Otton Hausner zamieścił w „*Wiener Allg. Zeitung*“ rozbiór przekładu *Pana Tadeusza*. Szanowny poseł galicyjski w Radzie państwa przemawia po niemiecku z konieczności, a w literaturze pisze po niemiecku z dobrej woli. Pojmujemy korzyść z używania powszechnie zrozumiałego języka w kwestjach praktycznych lub ściśle naukowych: pojmujemy, gdy Chałubiński wyniki swych badań botanicznych ogłasza po łacinie, a Baudouin de Courtenay zamieszcza rozprawy lingwistyczne w wydawnictwach niemieckich: oni chcą przemówić do uczonych całej Europy Ale jakie mają znaczenie a przynajmniej — z jakiego powodu tak nas cieszą artykuły literackie p. Hausnera w pismach niemieckich — przy jednoczesnem unikaniu polskich? Może wzgląd na rozpowszechnienie sławy Mickiewicza? Ach, szanowni panowie, Mickiewicz zbyt jest wielkim, ażeby nasi krytycy w niemieckich kurtach potrzebowali go podsadzać na Parnas europejski. Jeżeli cudzoziemcy uczą się języka zulusów i maorisów dla poznania ich pieśni, to doprawdy mogą się nauczyć także po polsku dla poznania i przetłómaczenia swym rodakom Mickiewicza. Jeśli zaś wiedzieć o nim nie chcą, to dla nich wstyd a dla nas żadna strata. My lepiej pracujmy dla siebie, niż mamy cudzą mową wysławiać *Eroberung (!) Mickiewicz's für die deutsche Literatur*. Obowiązku tego nie narzucam p. Hausnerowi, który ma zupełne prawo zbierać wawrzyny na tem polu, które go najbardziej nęci, zwracam tylko uwagę, że mu się od nas laur nie należy.

* * *

Tydzień ubiegły przyniósł nam dwie wieści Hiobowe. Gustaw Doré, słynny ilustrator, umarł w Paryżu — w Darmsztadzie dokonał żywota kompozytor „Stradelli“ i „Marty“ Fryderyk Flotow. Sztuka straciła w dwóch tych ludziach pierwszorzędne znakomitości, gwiazdy, których blask oświecał silnie artystyczny horyzont. Ale ze śmiercią nie ustał ich wpływ na społeczeństwo. Dzieła ich pozostaną zawsze wielkie. Z powodu, że wiadomość o śmierci obu wielkich artystów doszła nas za późno — dokładne ich życiorysy odkładamy do następnego numeru.

ZAPISKI.

Literatura.

* A l b u m d l a J e ż a przygotowane pod kierunkiem p. Ludwika Jenikego w Warszawie w krótkim już czasie będzie gotowe i jubilatowi odesłane. Fotografii będzie w niem przeszło dwieście. W samym zakładzie Mieczkowskiego wykonano więcej niż dwie trzecie portretów literatów, malarzy, rzeźbiarzy, muzyków i dziennikarzy tutejszych. Album będzie nader gustowne ze stosownemi emblematami na wierzchu.

* Czytelnia akademicka w Krakowie wysyła do T. T. Jeża adres jubileuszowy w imieniu młodzieży. Wszystkie stowarzyszenia młodzieży nadesłały arkusze z podpisami, tylko Lwowskie i Dublańskie towarzystwa wysyłają osobne adresy. Pięknie to, że młodzież umie czcić istotną zasługę.

* H i s t o r j i l i t e r a t u r y powszechnej dr. Jana Scherra w przekładzie i uzupełnieniu przez p. Br. Zawadzkiego, wyszedł zeszyt trzeci tomu drugiego.

* Wkrótce ma się ukazać w Warszawie ciekawa praca p. Em. Bronieskiego pt. T a b l i c e g r a f i c z n e d o d z i e j ó w E u r o p y. Na wielkim arkuszu podzielonym na kilka sekcyj, przedstawiającym rodzaj drobnej siatki, które obejmuje przeciąg lat tysiąca, zastosowaną jest metoda graficzna do wyłożenia pewnej strony wypadków dziejowych.

* Na posiedzeniu historyczno-filozoficznej komisji krak. Akademji umiejętności, w dniu 10. bm. odbytem, dr. K. Hoszowski odczytał monografję o rezydencji przy ulicy dawniej Legackiej, a teraz Poselskiej, niegdyś Jana Chojeńskiego i Jędrzeja Lipickiego, biskupa krakowskiego. Prelegent podał treściwie żywot tych dwóch dygnitarzy i ich zasługi dla kraju.

* „Wspomnienia o pułku trzecim ułanów byłych wojsk polskich“ spisane przez L. Szumskiego, byłego oficera tego pułku wyszły z pod prasy w Krakowie.

* Pomiędzy papierami pozostałemi po Gambecie, znaleziono zupełnie wykończone dzieło pt. „Juris prudence de Rabelais“

* Z fundacji zmarłego w grudniu r. z. w Paryżu wydawcy Wiljama Galigagni, ma powstać na Boulevar Bineau d o m p r z y t u ł k u d l a w i e k o w y c h l i t e r a t ó w, k s i ę g a r z y i d r u k a r z y. W instytucji tej 50ciu znajdzie przytułek za opłatą 500 fr. rocznie, a 50 darmo. Zmarły zapisał na ten cel plac obejmujący 700 metr. kwadr. 70000 fr. rocznej renty i dwa domy przynoszące 100.000 fr. rocznie.

Teatr i muzyka.

* Panna Marja D e r y n g od ostatniego wystąpienia na scenie Warszawskiej dość ciężko zachorowała. Z tego też powodu ślub jej musiał być odłożony.

„ W piątek d. 26 bm. daną będzie na benefis zasłużonego około opery kapelmistrza p. Adolfa Cecha opera „H a l k a“ Moniuszki. Tytułową rolę śpiewać będzie panna Reichówna, która tę partję niedawno w Warszawie śpiewała po polsku, W Pradze ostatnie przedstawienie Halki było jeszcze w r. 1868 d. 21 maja, a więc lat już temu 15.

* Zbiór najpopularniejszych i najulubieńszych pieśni ruskich, ukrainek i kołomyjek, ułożony przez Winc. Rychlinga, wyszedł w Krakowie nakładem J. Wildta.

* „Divadelni Swiet“ rodzaj naszej biblioteki teatrów amatorskichstanowiący dodatek bezpłatny dla prenumeratorów „Divadelnich Listów“ pomieścił dotychczas w bardzo dobrych przekładach Fr. Wł. Hovorki.

1. Kalosze, I. A. hr. Fredry (syna),

2. Teatr amatorski (Ochotnicke divadlo), M. Bałuckiego—i

3. Złoty cielec (Zlate tele) St. Dobrzańskiego.

Ostatnia sztuka u nas jeszcze nie była drukowana. Tak więc przekład uprzedził oryginał.

* Zbrodnia Fenayrounów, którą tak żywo interesował się swojego czasu cały Paryż, została udramatyzowaną pt. „La crime du Pecq“, i ma być graną w Belgii. We Francji zabroniono przedstawiać tę sztukę publicznie, ale dowcipny antreprener, mający jeździć z nią po Belgii, zamierza podobno oszukać władzę, urządzając w jednym z paryskich teatrów przedstawienia prywatne, na które wstęp ma być dozwolony tylko za rzekomemi zaproszeniami.

Sztuki piękne.

* Na wystawie rzymskiej będzie zamieszczony w osobnym pawilonie wielki obraz mistrza Siemiradzkiego „Tryumf światła“.

* Pan A j d u k i e w i c z kończy portret pani Hoffmanowej, który przeznaczył dla muzeum narodowego, zostającego pod opieką gminy krakowskiej.

* Gabrjel M a x wykończył nowy obraz, przedstawiający włoską „Żebraczkę“.

* Historyczna wystawa w Wiedniu urządzoną zostanie w salach wiedeńskiego ratusza. Składać się będzie z trzech oddziałów. Do pierwszego wejdą: broń, zbroja i trofea wojenne; — do drugiego: historyczne obrazy, plany i widoki oblężonego Wiednia, oraz dokumenty i dzieła: do trzeciego monety, medale i t. p.

T r e ś ć:

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

OPTYK
CELESTYN KOTKOWSKI

we Lwowie w hotelu George'a

poleca Szanownej P. T. Publiczności istniejący od lat 15stu magazyn a świeżo zaopatrzony obficie w towary

OPTYCZNE i FIZYKALNE

z najcelniejszych fabryk francuzkich, angielskich i pruskich, po najumiarkowańszych cenach.

Wszelkie reperacje w zakres optyki wchodzące miejscowe i nadesłane z prowincji uskuteczniają się sumiennie i odwrotną pocztą odsyłają się.

Polecam się pamięci P. T. Szanownej Publiczności

CELESTYN KOTKOWSKI.

Kowalski & Mayer

we Lwowie,

pod „Opatrznością" Rynek l. 26.

polecają

swój obfity skład

szelkich rodzajó Pł-cien, Web rumburgskich, sz ajcarskich, holenderskich i francuskich.

Oraz różne Caschemiry, Tybety, Alpaki Wełnianki, Flanelki, Barchany kolorowe i białe, Pończochy, Szkarpetki, Pończoszki dziecinne, Kaftaniki, Spodnie, różne wyroby trykotowe i włóczkowe, Nici, Bawełnę białą i kolorową, Watę i Bawełnę czesaną, Kołdry, Kocyki i nakrycia na łóżka.

☞ Obstalunki na bieliznę i zamówienia na prowincję uskutecznia jak najspieszniej i najakuratniej.

KAZIMIERZ LEWICKI

Główny skład dla Galicyi

Szkła, Porcelany
i
towarów mięszanych

we Lwowie, ulica Trybunalska l 6..

założony w r. 1845.

Kompletne SERWISA herbaciane i stołowe, z porcelany i szk ła w różnych na modniejszych formach i deseniach. Garnitury do umywalni ze stołami żelaznemi.

Wyroby z CHIŃSKIEGO SREBRA, łyżki, łyżeczki noże i widelce stołowe i deserowe.

CZAJNIKI z metalu.

NOŻE i WIDELCE stołowe i deserowe z fabryk angielskich i styryjskich.

NOŻE kuchenne paryskie „Sabatier."

TACE z lakierowanej blachy w różnych wielkościach i różnych formach.

TACE drewniane z orzechowego lub czarnego drzewa z rączkami z chińskiego srebra.

TACE metalowe z alpaki dla restaureatorów.

LAMPY R. Dittmara i wszelkie przybory do lamp, umbry, cylindry i gnoty.

SZYBY do okien, oraz przedsiębiorstwo oszklania. — DYAMENTA szklarskie do przecinania szyb.

MUSZLE morskie do pasztetów. — KIT szklarski do okien i do podłogi.

KLEJ do porcelany, flaszka 40 ct. — ZAPAŁKI szwedzkie 1 pakiet zawierający 10 pudełek 7 ct.

WYKŁOWACZE do zębów 100 buncików 50 ct.